

I/55 Stenia

I strona

SZAN

I/848

15B
30A

Archiwum
Wschodnie
36

R. 28

68

Nazywam się Stefania Szantyr, po mężu Powolna. Urodziłam się w Wilnie i dotąd to miasto uważam za najmiłsze i najcudniejsze na świecie. Moje dzieciństwo sielskie-anielskie sięga lat przedwojennych, przebiegało w atmosferze ciepła, miłości domu rodzinnego. Ojciec był farmaceutą, mama od czasu zamążpójścia nie pracowała, była w domu i to właściwie było cudowne. Szkoła podstawowa, to okres mojego, jeszcze spokojnego dzieciństwa, ale już okres pełen zajęć, zaangażowania harcerstwem, ideami prawdziwego skautingu, z wielkim szacunkiem i uznaniem dla wodza Piłsudskiego. Jego śmierć i nowy wódz, Rydz-Smigły, to były pierwsze bodźce, pierwsze momenty, które przybliżyły ^{mi} do spraw politycznych. Pierwsze, to pojęcie Ojczyzny, dom, spokój, język polski, później się zamienia, dochodzi jeszcze pojęcie wroga, stosunków międzynarodowych. Moi rodzice posiadali odznaczenie za walkę o Wilno i to chyba już w okresie mojego dzieciństwa zrodziło moje przekonanie, że jest dom rodzinny, ale jest i dom ojczysty, z określonym obszarem, z grupami ludzi. I kiedy w 1939 roku rozpoczęła się wojna, to ogarnęło mnie i nas wszystkich ogromne przerażenie, żeby tego nie utracić, aby ze wszystkich sił walczyć o utrzymanie tego, co jest. Toteż bardzo szybko w tym okresie czasu zaczęły organizować się grupy młodzieży kierowane przez dorosłych - wtedy może nie byliśmy tego tak w pełni świadomi, kolportujący gazetki z odezwami podtrzymujące ^{im} wiarę, zapewniające, że niedługo zwyciężymy, że będzie wolna Polska. Już w drugim miesiącu wojny zostałam przez starszego koleżę z harcerstwa, Romka, już właściwie nie żyjącego /dwa lata potem zmarł na gruźlicę/ zostałam wciągnięta do konspiracji. Pamiętam uroczystą przysięgę w dzielnicy Śniłpiszki, taka duża dzielnica w Wilnie, w małym drewnianym domku. Pamiętam ten domek otoczony śniegiem, to była głęboka jesień, bo to nie była jeszcze w pełni zima. Wtedy wybrałam pseudonim Hanka, jakoś stałam się od

razu, poczułam się dorosła. To był mój jedyny pseudonim, nigdy go nie zmieniałam. Dorosła właściwie jeszcze na pewno dlatego, że miałam wtedy i warkocze i tych naście lat /a tak naprawdę, to jeszcze dzieciuch/, ale dzięki temu mogłam, nazwijmy to spokojnie, ale mogłam w mufce przetranszować i broń i granaty i amunicję do tych punktów zbiórki, wyglądając tak bardzo niewinnie, dziecinnie. Konspiracja ogarnęła wtedy całość mojego istnienia /można tak powiedzieć/, dlatego że i Gimnazjum, które zaczęłam tuż przed wojną kontynuowałam i kończyłam na tajnych kompletach, poza tym praca w konspiracji wypełniała mój czas całkowicie. Skończyłam kurs sanitarny, wtedy pamiętam profesor Michejda pokazywał na mnie różne rodzaje opatrunków, byłam bardzo z tego dumna, kurs był prowadzony przez wysoko postawionych ludzi i zdawało mi się, że już bardzo wiele potrafię. Pamiętam trafił do mnie chłopak z lasu z raną postrzałową skroni, zabrałam, ^{35) (nie wiem)} zdawało mi się, bardzo fachowo do dzieła, ale kiedy zobaczyłam w tej otwartej ranie spacerującą wesz, zrobiło mi się straszliwie mdło, nogi zrobiły mi się zupełnie miękkie i ledwo już skończyłam ten opatrunek i sama już wymagałam jakiejś opieki i pomocy nad sobą, żeby dojść do siebie. To było moje pierwsze zetknięcie z funkcją sanitariuszki. Przy zadaniach łączniczki, które już potem pełniłam, nie miałam już takich sensacji, ale też zdarzały się różne sytuacje; np. pamiętam, wracałam kiedyś z koleżanką, z oddziału, z lasu, była już późna godzina i znalazłyśmy się w okolicy Ostrej Bramy. Ostra Brama jest bramą wejściową do miasta, do części starszej, tej historycznej. Ale właśnie w tych okolicach spotkał i zatrzymał nas patrol milicyjny, byli to Litwini. Była to okupacja niemiecka, ale Litwini pełnili różną funkcję milicyjne i w urzędach. Patrol ten poprowadził nas wtedy do komisariatu. Ja miałam przy sobie bardzo dużo listów od chłopaków z lasu. Na początku zresztą, jak wyruszałam z oddziału z lasu, miałam je

zaszyte pod podszewką w marynarce kostiumu, ale potem doszłam do wniosku, że to jest niebezpiecznie i trzymałam je w kieszeni, że to chyba bezpieczniej. Były to listy od chłopaków do rodzin oczekujących na jakieś wieści. Zaczęłam szybko myśleć, co robić. Wiedziałam, że jak wejdziemy do środka, to czeka nas rewizja osobista. Wpuszczono nas do takiego ciemnego korytarza, jeden z milicjantów poszedł pierwszy do przodu, a drugi został na zewnątrz. W pewnym momencie w tym korytarzu, kiedy koleżanka szła przede mną, ja zobaczyłam ogromną skrzynię stojącą tuż przed drzwiami, do których wchodził właśnie milicjant. Szybko podniosłam pokrywę i wrzuciłam listy, nawet koleżanka nie zdążyła się zorientować, co zrobiłam. Rewizję oczywiście, tak jak przewidywałam, przeprowadzono. Rewidowali nas mężczyźni. Powiedziałam koleżance, co zrobiłam, całą noc właściwie myślałyśmy o tym, jak te listy odzyskać, ale nie można było żadnego planu działania ustalić, bo nie mogłyśmy przewidzieć, jaka będzie znowu sytuacja rano. Rano jeden ze strażników poszedł otworzyć drzwi od posterunku, a nam kazano iść za nim. Koleżanka szła przede mną do przodu, a ja się zatrzymałam przy skrzyni i w tym momencie usłyszałam głos za sobą, z takim akcentem: była tu zostawiwszy coś, co? Nie wiem, jakim nakazem ciągniona, podciągnęłam szybko spódnicę do góry z boku i zaczęłam krzyczeć: oj, proszę się odwrócić, proszę się odwrócić i głośno wołać do koleżanki, żeby dała mi agrafkę. Wówczas rechocąc strażnik wycofał się do drzwi, ja natomiast szybko zajrzałam do tej skrzyni. Była to skrzynia z piaskiem i na wierzchu leżały rozrzucone te listy. Momentalnie je zebrałam i opuszczając spódnicę, jak mogłam najmilej podziękowałam strażnikowi, listy wsadziłam znowu do kieszeni i naspokojniej wyszłam. Koleżanka w napięciu oczekiwała mnie, wyszłyśmy, ale kiedy odeszłyśmy spory kawałek, to nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Tak wciągając do tej konspiracji, która rozpoczęła się w 1939 roku. Spo-

tykaliśmy się nie¹raz w małych grupkach, niby na prywatkach, a w zasadzie celem naszym było jakieś omówienie spraw, przypatrzenie się sobie nawzajem, sprawdzenie naszych możliwości do różnego rodzaju zadań. Jak już mówiłam, ja do konspiracji zostałam wciągnięta przez kolegę Romka, to jeszcze z harcerstwa. Natomiast, jeśli Romek pytał, czy ja w kręgu moich znajomych znam kogoś pewnego, kogo możnaby jeszcze do tej działalności przyłączyć, to oczywiście z mego najbliższego kręgu i wyobrażam sobie, że wszyscy tak, spośród znajomych, co do których byli w jakimś stopniu przekonani, że jest to człowiek nadający się do tego celu; to chyba w taki sposób ludzie wciągani byli do tej pracy. Nie²raz zupełnie obcy sobie spotykaliśmy się na takich spotkaniach, żeby się poznać, w zasadzie jednak utrzymywaliśmy daleko idącą konspirację w stosunku do siebie; raczej znaliśmy się z pseudonimów i raczej kontaktowaliśmy się z pojedynczymi osobami, ze względu na bezpieczeństwo. Na czym w zasadzie, w tym okresie, polegała nasza praca? Przede wszystkim na kolportar³stwie, na roznoszeniu prasy podziemnej, /ja nie byłam w punkcie drukowania prasy, ale z punktu drukowania pobierałam prasę podziemną, ja po prostu wiedziałam, że mam przyjść na umówione spotkanie i otrzymać prasę, drukowali tą prasę ludzie mi nieznani - to był cały okres, kiedy prasa była drukowana zarówno za okupacji radzieckiej jak i niemieckiej/. [Warunki okupacji sowieckiej były o wiele trudniejsze dla konspiracji, aniżeli np. okupacji niemieckiej, a okres litewski był stosunkowo najłagodniejszy. Czy można powiedzieć okres litewski? Mnie się wydaje, że to była jak gdyby nadana autonomia Litwie i oni zajęli wszystkie urzędy, posterunki, oni dbali o porządek i bezpieczeństwo, ale tak samo były warunki' bardzo trudne, dlatego, że tam był w pewnym okresie bardzo silnie wyrażony szowinizm litewski. Ale nawet wtedy, kiedy Wilno wchłonęło państwo litewskie, kiedy była mone-

ta lit, ale nawet wtedy były aresztowania, były bicia młodzieży, która mówi po polsku, czy na ulicach czy w kościołach. Były zatrzymania, były pobicia, czyli relatywnie jednak względnie łagodnie. Z czasem, coraz bardziej wciągaliśmy się w tę pracę, byliśmy coraz bardziej pewniejsi siebie, stąd i zadania były potem większe, zwłaszcza w czasie okupacji niemieckiej. Zaczęliśmy organizować zbiórkę broni, zbiórkę materiałów opatrunkowych, leków. W 1942 roku zorganizowałam pluton sanitarno-łącznościowy, byłam dowódcą tego plutonu z grupą w Landwarowie. Nasza konspiracja w mieście prowadziła się do tego, aby być przygotowanym do wyjścia do lasu; żeby chociaż ta część męska wyszła do lasu i stąd całe zaplecze było przygotowane, skierowane na zbieranie ubrań, materiałów opatrunkowych, leków, były organizowane punkty sanitarne przewidziane na wypadek akcji. Taki jeden punkt sanitarny był przy ulicy Kalwaryjskiej; w czasie jakiegoś bombardowania uległ całkowitemu zniszczeniu, ale jakimś cudem wszyscy wyszli cało. W czasie konspiracji zdarzały się również zadania typu wywiadowczego. Przypominam sobie, że była taka sprawa dotycząca jednego z dowódców w brygadzie Szczerbca i wtedy z kolegą szukaliśmy w mieście jakiś dowodów na to - bo były podejrzenia ~~na to~~, że on współpracuje z Niemcami. To był już rok 1943. Zadanie moje polegało na tym, że miałam wejść do domu, zapytać się, czy taki gość się znajduje i dowiedzieć się o nim, czy rzeczywiście osoby zamieszkujące z nim w jednym domu mają podejrzenia także w tym kierunku. Trafiłam do rodziny - okazało się, że ta rodzina zna moją rodzinę, ale ja wtedy nieostrożnie postąpiłam, powiedziałam, że chciałabym spotkać się z tym panem, ci państwo byli zaskoczeni, pytali dlaczego i ja powiedziałam, że słyszałam, że on sprzedaje maszynę do szycia. I wtedy ta pani powiedziała, że to jest chyba niebezpieczna sprawa, bo ten pan chyba współpracuje z Niemcami i chyba to niedobrze by było, żeby z nim rozma-

wiać - wiedziałam, że jednak jakieś podejrzenia odnośnie jego osoby są, ale chciałam zobaczyć, jak ten człowiek wygląda. Ta pani zapukała do jego pokoju, powiedziała, że ktoś się interesuje maszyną do szycia, którą on ma do sprzedania. On potwierdził, że rzeczywiście chce sprzedać maszynę i żebym weszła. I tu pomyślałam, że może nie trzeba było aż tak daleko na ten kontakt się posuwać, ale weszłam i ten pan puścił w moim kierunku snop światła z latarki oświetlając mnie i nie ukazując swojej twarzy. Powiedział, że chyba jednak on takiej maszyny nie ma, ja stwierdziłam, że musiała to być pomyłka i szybko wycofałam się. Zorientowałam się, że musiał to być człowiek dobrze przygotowany w wywiadzie, skoro w ten sposób zareagował na pytania osoby obcej. Chciał sprawdzić, kto ja jestem, a mówię o tym fakcie dlatego, że często były takie nie do końca przemyślane momenty w zbieraniu wywiadu. Gdyby nie ci znajomi, ten dom znajomy, to nie wiadomo, jakby ten pan się tam znalazł. Dalej sprawa wyglądała w ten sposób, że on miał żonę w Landwarowie, co do której też zbieraliśmy wywiad, to była Marysia Bogdanowiczówna i ona jeździła do niego do oddziału i rzeczywiście złapano ją z listami pisanymi przez niego, także oni potem zostali rozstrzelani. Podejrzenia były słuszne, potwierdzone listami, które on pisał, ona też się przyznała w jakimś momencie desperacji.] I tak jak już mówiłam, przygotowywaliśmy się do jakiegoś zabezpieczenia wyjścia oddziałów w teren, to były nasze zadania. W 1943 roku doprowadzaliśmy chłopców do lasu poprzez punkty zorganizowane w Landwarowie i w Warszawie - wtedy była większa dekonspiracja, bo więcej ludzi się zobaczyło i poznało nawzajem, więcej ludzi wiedziało o sobie, jakkolwiek w dalszym ciągu używaliśmy pseudonimów. W 1944 roku sprawa zakończyła się, jak wiemy. Pamiętam jeszcze parę momentów z pracy w konspiracji. U mnie w domu było zaprzysiężenie grup konspiracyjnych z mego plutonu i innych grup. Pamiętam, był przyniesiony krzyż, był

tekst przysięgi, byłam ja i jeszcze młody człowiek, który odbierał ~~ta~~ przysięgę. Zostaliśmy sami w pokoju, cała młodzież. Zawsze moment przysięgi, takiej jak ja składałam i potem odbierałam, był ogromnym przeżyciem, to się nie da powtórzyć, to jest wstrząśnięcie psychiką człowieka, nagle jakaś dojrzałość w tym wieku. Odbierałam wtedy u siebie w domu przysięgi, były to lata 1942/43, więc już parę lat byłam w konspiracji, miałam za sobą już doświadczenie i jakiś staż, choć lat niewiele, bo 16-17, ale odbierałam w obecności kogoś, kto był rangą wyższy ode mnie. Wracając jednak do momentu przysięgi, wszys^cby bardzo przeżyliśmy ten moment. Wstrząśnięta była moja mamusia i ciocia, które słyszały przez drzwi tą przysięgę, głosy zduszone. W tym momencie, jak wszyscy wyszli, ucałowały mnie tylko, nigdy nie słyszałam od mamy jakiegoś słowa sprzeciwu, może dlatego, że sama kiedyś była zaangażowana w takich sprawach. Napewno przeżywała, żeby mi się nic nie stało, ale nigdy nie było słowa, żebym tego nie robiła. Przypominam sobie, jak w pewnym momencie znalazła ukryty przeze mnie w domu pistolet, nie było mnie wtedy, była tym mocno zdenerwowana, włożyła go do maki, potem do węgla, ale też nie powiedziała mi nic - wtedy powiedziałam, że czasami przenoszę broń. Zresztą kiedyś tak się zdarzyło, że rzuciłam mufkę na stół i z mufki wyskoczyły i rozsypały się naboje. Mamusia zamilkła na moment - na pewno to były momenty dla rodziny trochę bulwersujące, ale nie było sprzeciwu. [Jeszcze pamiętam taki moment, nie umiem go zlokalizować w czasie, nie wiem, jak się to stało, że znalazłam się na Zwierzyńcu w mieszkaniu Józefa /pseudonim/ - znalazłam się w tym mieszkaniu w celu pisania na maszynie, ja wtedy już pisałam na maszynie i pamiętam, że było to spotkanie w ciągu całej nocy a sprawa dotyczyła pisania na maszynie materiałów dotyczących połączenia wszystkich stronnictw, jakie wtedy istniały i to był akt łączący te wszystkie stronnictwa. Później dowiedziałam

się, że to był ważny moment dla konspiracji, ale wtedy to do mnie nie dotarło. Ale przypominam sobie, że to było w nocy na Zwierzyńcu. Tam była jeszcze młoda osoba, córka Józefa, ale nie wiem, jaki był jej pseudonim. Prawdziwa konspiracja polegała na tym, że myśmy mało wiedzieli, i o sobie i mało wiedzieli o przydziałach. Pan wspominał o dzielnicy A czy B, ja wtedy nie wiedziałam, że to się nazywa dzielnica.

II strona

Ale wiedziałam, że Ślepiński, że ten teren działania. Zresztą ja wychodziłam poza Wilno, miałam jeszcze grupę w Landwarowie, bo tam przez pewien czas mieszkałam dlatego, że kiedyś musiałam szybko wyjechać z Wilna, bo był moment niebezpieczny i dookoła robiło się zbyt gorąco i w tym okresie przebywałam w Landwarowie. Ta grupa, jeśli chodzi o siatkę konspiracyjną, wciąż należała do Wilna. Tam też był punkt przesyłania chłopaków do oddziałów w Landwarowie. Jak zapamiętałam akcję "Burzę"? Jako taką żywą, bardzo gorącą, mieliśmy wtedy pełne ręce roboty, bo musiała być między punktami stała łączność, mnóstwo ludzi było wtedy mobilizowanych. Ja byłam w pionie sanitarnym, ale w zasadzie spełniałam bardzo wiele zadań łączniczek, między siatką z Wilna /wtedy, jak byłam w oddziale, to maszerowałam poprzez wszystkie oddziały aż do oddziału UBK, do Piaseckiego, poznałam go wtedy osobiście, w jakimś dworku Piłsudskiego - wtedy był jakiś zjazd, dotarłam tam z koleżanką, był tam krótki pokaz wojska naszego, mnóstwo oddziałów, było spotkanie w tym dworku, ja miałam za zadanie dojścia do Piaseckiego z jakąś sprawą do przekazania, byliśmy tam parę dni, maszerowaliśmy wspólnie/. Ludzie z konspiracji powinni maskować się, znikać w tłumie, ale ja chyba wyglądałam dość niewinnie, dziewczynkowato, te warkocze i chyba przedstawiałam obraz dziewczyny niezdolnej do podejmowania tego typu zadań - jak dzisiaj oglądam swoje zdjęcia, to chyba tak

to mogło wyglądać i może dlatego powierzano mi różne zadania do spełniania. Może właśnie dzięki temu udawało mi się nieraz, już w godzinach policyjnych, po godzinie ósmej wieczór załatwiać pewne sprawy, które trzeba było załatwić, ale które może dzięki mojej powierzchownej naiwności mogłam spełnić. Zdarzyło mi się, że kiedyś wracałam późno z takiego zadania i przemykałam się od bramy do bramy, żeby nie spotkać jakiegoś patrolu. I przeżyłam moment zgrozy, kiedy chowając się w bramie zobaczyłam dwie postacie skulone w bramie - to było coś niesamowitego, to było bardzo śmieszne, bo okazało się, że to były kamienne postacie ludzi, ale wspominam to jako przeżycie ogromne wtedy - ale jakoś dobiegłam do punktu i załatwiłam to co potrzeba. Jak mi się utrwalił moment wejścia Rosjan? Wtedy nastąpiła pełna dekonspiracja naszych oddziałów, bo w zasadzie, po odejściu Niemców weszły polskie oddziały, jako pierwsi weszli polscy partyzanci, razem z radzieckimi - toteż byliśmy zaskoczeni, kiedy później okazało się, że nasze oddziały są rozbrojone, wtedy nastąpiła dekonspiracja wszędzie i myśmy wszyscy, którzy byliśmy w siatce w mieście, byliśmy obnażeni z naszej konspiracji, nas znali, znali sąsiedzi i ludność litewska, która tam mieszkała, także łatwo było potem o wyłapanie tej siatki konspiracyjnej. Ludność litewska była wrogo nastawiona i pewnie dzięki temu udało się wyłuskać nas, nasze grupy po tym okresie w roku 1944. Aresztowania naszej siatki zaczęły się w listopadzie, grudniu 1944 roku, tam w mieście. Mnie aresztowano w grudniu 1944 roku. Ja wtedy zaczęłam pracować w Dyrekcji Kolejowej w sekretariacie. Przyszli po prostu po mnie i zabrali mnie z sekretariatu. Początkowo nie wiedziałam, z której strony zostałam uderzona, bo nie wiedziałam, czy sprawa dotyczyła pobytu w lesie w partyzantce, czy któryś z kolegów z partyzantki, czy ktoś z siatki, ale potem dowiedziałam się, że została "wsypana" jedna ze skrzynek i tam chyba ktoś został zde-

konspirowany przez Litwinów, właśnie w tej skrzynce. I w momencie, kiedy jedna z koleżanek zgłosiła się do tej skrzynki, została zatrzymana i ta koleżanka nie wytrzymała próby i wskazała mnie, że ja miałam adresy różnych siatek. Ja byłam torturowana, byłam bita, miałam złamany nos w czasie badań. Jak to wyglądało? Wyglądało to w ten sposób, że początkowo byłam wezwana do pułkownika, czy podpułkownika - ze względu na to, że pracowałam w dyrekcji kolejowej, a NKGB mieściło się na przeciwko tego gmachu i ponieważ jakiś tam pułkownik często odwiedzał w dyrekcji kolejowej jakiegoś głównego naczelnika, a może to była interwencja głównego naczelnika, że jego pracownik został aresztowany, w każdym razie te pierwsze pytania były prowadzone przez tego głównego pułkownika z NKGB, robił wrażenie bardzo życzliwego. Może tak było w istocie dlatego, że on w pewnym momencie powiedział do mnie: nie opieraj się, przyznaj się, bo ciebie wyspała /powiedział mi nazwisko tej koleżanki, która wyspała/ i ja wtedy zorientowałam się, o co chodzi. Ja przez cały czas udawałam, że nie miałam z tym nic wspólnego. Ponieważ nic nie mówiłam - uważałam, że to jest tylko gra tego pułkownika - zostałam przekazana komuś, kto wyglądał straszliwie, z twarzą kata, z okrucieństwem na twarzy. Zaczął mnie pytać w okropny sposób i powiedział: no pamiętaj, nie przyznasz się, ale jeśli jesteś dziewczycą, to nie wyjdiesz stąd jako dziewczica. Ponieważ ja w dalszym ciągu twierdziłam, że nie mam z tym nic wspólnego, zostałam przekazana do innego śledowateľa, on mnie bił, wtedy miałam złamany nos, traciłam w pewnych momentach może nie przytomność, ale poczucie rzeczywistości na pewno. Zraszał mi twarz wodą i przywracał do tego, żebym mogła mówić, nie mówiłam, on był wściekły, bił mnie i powiedział: no jesteś jak żelazo, gdyby taby wszyscy byli, to może byście mieli własną Polskę, ale nie spodziewaj się - on powiedział to ze wściekłości, ale dla mnie powiedział rzecz ważną, podparł mnie

tym. Jeśli chodzi o zgwałcenie, to skończyło się na groźbach, to było po prostu zastraszenie psychologiczne. Moje badanie trwało bez przerwy, bez snu, bez jedzenia, bez picia - ponad 36 godzin. I chyba już byłam u kresu wytrzymałości fizycznej, bo wogóle nie odpowiadałam na pytania i zostałam wtedy odprowadzona do celi, w której było ciemno, maleńka cela, w której nie można było usiąść, nogi się kładło na zakładkę, tam było kilkanaście osób w tej celi. Przyjęły mnie bardzo życzliwie, starano się robić mi okłady na twarz, bo miałam opuchniętą, podano mi kawałek chleba, zresztą chleb, który zgrzytał, jak go jadłam, bo - to jest straszne, co teraz powiem, ale we wszystkich otworach tego chleba były wszy, takie były zawszone cele i nie było momentu oczyszczania się od tego, bo było ciemno. Ja z tej celi zostałam ponownie wzięta na badanie i po raz drugi byłam umieszczona w innej celi, w której przebywałam dłuższy czas. Ta cela to było w schronie, na dole w piwnicy pomieszczenie po ubikacji, ze śladami jeszcze używania jej, ale bez muszli klozetowej, tylko w tym miejscu, gdzie była muszla, była ziemia z dużą pleśnią i ponieważ to było pomieszczenie przewidziane na schron, więc było z metalowymi rurami łączącymi sąsiednie pomieszczenie, w którym znajdowali się mężczyźni. Zresztą dzięki tym rurom, myśmy się porozumiewali z pomieszczeniem męskim. Nas było bardzo dużo, bo ze dwadzieścia kilka w tym małym pomieszczeniu - nie wiem, jakie to były wymiary, ale chyba półtora na półtora, może do dwóch metrów. Myśmy siedziały tak na zakładkę w bieliźnie, bo było duszno, nie mogłyśmy się myć, raz na dobę prowadzono nas do ubikacji, niektórzy decydowali się, żeby tą wodę spływającą do muszli pić, bo nie było wody. Ten okres siedzenia w celi co jakiś czas był przerywany wzywaniem na przesłuchania. Zawsze po takim przesłuchaniu, każda, która wracała była pobita, wszystkie były bite, niektóre wytrzymały to bicie,

niektóre się załamywały. Koleżanka, z którą zetknęłam się w tej celi przepraszała mnie, jak zobaczyła mnie pobitą, to widocznie miała wyrzuty sumienia, ale ja powiedziałam, że trudno, przecież człowiek nie wie, jaki może być i myśmy same nie wiedziały jeszcze, jaka jest nasza wytrzymałość, bo dziewczyny, słabe, młode jeszcze. To dopiero w tym okresie mogłyśmy powiedzieć, jakie jesteśmy - trudno to było przewidzieć. Większość dziewczyn trzymała się wsporniale - stworzenie jakiejś całości z tej organizacji - to co później nam wyłuskano już w czadzie sądu - to była koncepcja tego śledowaciela, któremu zależało na scaleniu, na zrobieniu jakiejś całej historii. Ten śledowacieli wiedział, że miałam pseudonim Hanka, wtedy drwił sobie, że tak się nazywa najgorsza wódka - nie wiem, czy to jest prawda, ale on tak twierdził, zawsze dodając swój odpowiedni epitet, nazywając nas odpowiednio - nie wiedziałyśmy wtedy, co to znaczy. Muszę tu przytoczyć jedną koleżankę, która słuchała bez przerwy, jak śledowacieli mówił ma nią swołocz i coś podobnego i pytał się jej, czy rozumie, ona mówiła, że tak, ale po pół godziny zapytała się, co to jest takiego swołocz u was - jego zamurowało, ale po pewnym czasie mówi: to ty właśnie! Takie to było nasze traktowanie, dla nas dziewczyn nie znających wogóle przezwisk ani wyrażeń, to było pierwsze zetknięcie z tego rodzaju słownictwem. Siedziałyśmy w tej celi prawie jak w karczerze stłoczone. Przypominam sobie jeszcze takie momenty miłsze - dyżurującym często przy naszej celi był polski Żyd, nazywał się Abramowicz, mówił po polsku, z nami rozmawiał, chyba mu było trochę żal nas, otwierał czasami drzwi, żeby trochę przewietrzyć i wpuścić trochę powietrza. Zwłaszcza lubił słuchać, jak ja śpiewałam, a ja znałam taką piosenkę, chyba ją kiedyś śpiewała Ordonka, o takim srulku żydowskim, co go bardzo rozrzewniało, a ja chętnie śpiewałam, bo ten cały moment, kiedy ja śpiewałam, to drzwi były otwarte i nasza cela się wietrzy-

ka. Pamiętam słowa tej piosenki: " W małej uliczce wielki dzisiaj gwar, i wiele chodzi ludzie, wiele krąży par, handkarczowi z Łodzi, syn się dziś urodził, właśnie dostał piękne imię Sról. Ojciec dzisiaj w domu gości pełno ma, cieszcze się, radujcie, ale cicho, sza, Srólek oczka zmrużył, bał go pewnie znużył, śpij syneczku, nie znaj co to łązy. Refren: Syneczku, drogi Srólku mój, nad tobą czuwa ojciec..." Jeszcze muszę powiedzieć, że dzięki temu Żydowi, który tak lubił tą piosenkę, on sam zaangażował mnie do noszenia zupy po korytarzu i to była niesamowicie ważna sprawa, bo nie tylko ten moment wyjścia i poruszania się był cenny. Była cenna sprawa w celu kontaktowania jednej celi z drugą. Ja nap przykład, pochylając się i stawiając banieczki, nota bene, brudne, zardzewiałe bańki z zupą, w której czasami pływająca łupinka od grochu oznaczała, że to była grochówka - w każdym razie stawiając te bańki, zdążyłam zawsze coś szepnąć do drzwi, czy w tej celi siedzi taki, czy taki i czasami udało się coś przemyścić, jakąś cenną informację z jednej celi do drugiej. W celi tej przebywałam od grudnia do marca, kiedy wezwano nas na sąd. Sąd odbył się na górnych piętrach tego gmachu NKGB i tam sklecono grupę kilkunastu osób, bo prowadzący to śledztwo zebrał w jakąś całość pewne różne fakty i różnych ludzi. Nie było możliwości, żeby coś tam udowodniać, sądził nas wojenny trybunał, powtórzono nam wszystkie zarzuty, dostałyśmy różne wyroki, ja dostałam 10 lat /był to najwyższy wymiar w tym czasie/ przy punkcie pięćdziesiąt osiem dwa jedenaście- to było kontrrewolucja i powstanie z bronią w ręku /według kodeksu rodyjskiego/. Ja dostałam 20 lat katorgi i 5 lat pozbawienia praw. W tej grupie jeszcze koleżanka dostała 10 lat, ta która była sprawczynią i jeszcze parę osób, a reszta dostała różnie: siedem, pięć lat. Jeszcze razem z nami był sądzony mężczyzna - w zasadzie powiązania z nim były takie, że on się przyznał, ale był bardzo biły, powiedział to na sądzie, że proszę mu wy-

baczyć, ale był bardzo bity, a wiedziałem, że pani już siedzi, dlatego to przyłożyłem do pani - chodziło mu o to, żeby nie dekonspirować jeszcze jakichś innych grup, a zarzucali mu, że pisał wtedy list do Churchila i to znaleźli tam, w dyrekcji kolejowej. Czy on pisał ten list, nie wiem, ja z tym naprawdę wtedy nie miałam nic wspólnego, on pracował w dyrekcji i ja, więc on twierdził, że miał ze mną jakieś powiązania i mnie przekazywał ten list. Ale może to jeszcze na obronę tego człowieka, że nikogo dalej nie sypnął, skończyło się to na mnie, może tylko dostałam większe cięgi za to i może za to byłam więcej bita. Po przesłuchaniu nas /każda powiedziała oczywiście, że nic nie wiedziała, do czego się nie przyznawała, wiele tak potwierdziło/ odprowadzono do celi i potem, po raz drugi nas przywołano, żeby ogłosić nam wyroki. Kiedy ogłoszono nam wyroki - musiałyśmy mieć bardzo rozbawione miny - sędzia po raz drugi czytał nam te wyroki, ale to do nas wtedy nie dotarło, że może to być prawdziwe, że pozbawienie praw i te wyroki są prawdziwe.

II/55 Stenia

I strona

Sąd trwał dobre kilkanaście godzin. obrońców żadnych nie było, nawet z urzędu, może dlatego że był to wojenny trybunał i nie ma wtedy obrońców, wcześniej też nie dawano nam aktu oskarżenia. Po tym sądzie odprowadzono nas do celi i na drugi dzień odwieziono do więzienia na Łokiszkach. Tam w więzieniu już nas było bardzo wiele. W dużej bardzo celi było nas ze trzydzieści, może czterdzieści. Pamiętam, że z tego powodu, że tam było światło dzienne a ja przez wiele miesięcy siedziałam w ciemnej piwnicy, momentalnie miałam zapalenie spojówek i tak straszne, że nie mogłam patrzeć - rozechrowałam się przez to przeniesienie. Tam przeżyłam okres Wielkanocy, były dzwony, które zwiastowały Rezurekcję, w bliskim sąsiedztwie

był kościół św. Jakuba. Niedługo po tym, zaczęto organizować już etapy i 1 maja rano, o świcie kazano nam się zebrać z wszystkimi rzeczami, wyprowadzono z więzienia - stali już mężczyźni, konwojenci z psami i nasza grupka kobiet, chyba ze dwadzieścia parę osób. Pamiętam, że wyprowadzono nas wtedy i prowadzono koło jakiegoś sklepu z dużą witryną, w której to niby sprzątała jedna z moich koleżanek - kiedy zobaczyła mnie i jeszcze parę dziewczyn zrobiła przerażone oczy, ale ja wiedziałam, że będzie już ktoś, kto powie, co się z nami dzieje. Zaprowadzono nas na dworzec, mężczyznom kazano paść na ziemię, nam kobietom tylko kucnąć, otoczone byłyśmy psami, załadowano nas w zwierzęce wagony. 3 maja odjechał cały ten etap w kierunku Związku Radzieckiego. Po drodze, z okien wagonów, widziałyśmy wszystkie swoich rodziców, swoje matki - stali dalej za ogrodzeniami toru kolejowego, podobno czekali oni tam bezustannie od 1 maja, a więc dwie czy trzy doby. Przez te małe okienka mogłyśmy jeszcze pomachać do tych najbliższych nam osób. Dziewiątego maja, kiedy byłyśmy w transporcie, dowiedziałyśmy się od konwojenta o zakończeniu wojny i sądziłyśmy, że jest to koniec wszelkich nieporozumień i spraw tego typu, bo to przecież dotyczyło okresu wojny, wobec tego staje się jasne, że wszyscy wrócimy do domu. Ale niestety, cały nasz transport jechał dalej, gdzieś po drodze zatrzymaliśmy się, aby załatwić czynności fizjologiczne ku uciesze zresztą konwojentów. Dawano nam ryby suszone bardzo rzadko i wodę do picia, ale ta wiara, że to szybko się skończy, była tak silna, że ta droga nie była dla nas, osób młodych tak trudna, jak dla osób starszych /takich w wieku czterdziestu lat/. I tak dojeżdżałyśmy do Uchty i tu się nasz transport zatrzymał, tu zostaliśmy odesłani na punkt przesylny pierwszy, na którym przebywałyśmy - wtedy pamiętam, że zastanawialiśmy się, co będziemy robić w takim obozie - ja uważałam, że mężczyźni będą pracować, a my będziemy

im gotować obiady, posiłki, prania, prasowania, szycia, coś w tym typie. Rzeczywistość była jednak zupełnie inna. Wkrótce rozesłano nas do różnych miejscowości, ja z kilkunastu dziewczynami trafiłam do sowchozu Sedju, gdzie jeszcze rosły rośliny, drzewa, gdzie był tzw. lesopowal i gdzie zaczęły się pierwsze, rzeczywiście trudne prace fizyczne. Kiedy przyjechałam do Sedju w 1945 roku, miałam 20 lat. Nie umiałam pracować fizycznie i wszystkie my nie umiałyśmy, nie umiałyśmy pracować na wyrębie lasu. Była taka sytuacja, że nie wyrabialiśmy normy, nie zarabialiśmy nawet na najmniejszy kawałek chleba. Budziło to troskę, chyba nie o nas, ale o opinię tego sowchozu, bo przyjechał naczelnik tego obozu i jeszcze parę osób i uczyli nas, jak podejść do drzewa, żeby je ściąć. Pamiętam taką historię, że ściąnęliśmy z koleżanką drzewo, wpadło ono w śnieg, my nie umiałyśmy sobie z nim wogóle poradzić, próbowałyśmy odciąć gałęzie, siekiera nam odskakiwała, w końcu zlitował się nad nami konwojent, żebyśmy nie były podejrzane za "odkaz od raboty" i nasciągał nam z innych sztapli kawałków drzewa przepisowej długości, żeby chociaż kubik /metr kwadratowy/ nazbierać, żebyśmy nie dostały karceru. Zanim nauczyłyśmy się sobie jakoś radzić, to było trudno i upłynęło sporo czasu. Początkowo były bardzo małe racje chleba, myśmy zaczynały puchnąć, bywało tak, że rano nie mogłyśmy zapiąć swoich spódnic, bo byłyśmy tak nawodnione, napełnione, to nagle puchła nam jednacezęść twarzy, to puchły nogi tak, że nie mogłyśmy łapci założyć - to wzbudziło jakieś współczucie u lekarza z punktu tego sancaści, zaczął nam przemycać przez siostrę, jedną z naszych Polek, która była siostrą medyczną, witaminy. Wiele z nas chorowało na awitaminozę, na niedobór białkowy - były to trudne momenty adaptacji do tej rzeczywistości. A żeby nie było "odkazu od raboty" trzeba było postawić jeden z czymś tam kubika, ale norma była daleko większa, myśmy nigdy nie mogły wyrobić normy, chy-

ba tak nie było, jak w innych obozach, że trzeba było wyrobić 17 kubików na dwie, bo już potem, jak dostawałyśmy normalne porcje chleba, to trzeba było wyrobić około czterech metrów kubicznych na jedną. Przepominam sobie z tego okresu pierwsze Boże Narodzenie, które w jakiś sposób chciałyśmy spędzić razem, nie podając się nastrojom i tęsknotom za domem. Postanowiłyśmy, żeby te racje kaszy /to była łyżka stołowa kaszy w miseczce/, żeby zostawić, żeby to było coś w rodzaju kuti - myśmy to przyniosły do baraku i razem przy stole to zjadły, w jakimś nastroju. I tak zrobiłyśmy. Mieszkałyśmy w dużych barakach, po sto z czymś osób w baraku, prycze dwupiętrowe /dół, góra/. Przyniosłyśmy tą kaszę do stołu, usiadłyśmy, zaśpiewałyśmy kolędy, ja jeszcze ułożyłam jakąś wiązanek o pracy w tym obozie, śpiewałyśmy, jedna z koleżanek odtwarzała różne, śmieszne sceny i tak przeleciał nam wieczór, bardzo sympatycznie i bez takiego przeżywania tego oddalenia od domu. Ale nie minęła godzina, kiedy przyszli konwojenci, zrewidowali moją prycę, znaleźli piosenkę napisaną przeze mnie i zaprowadzili mnie do karceru. Było wtedy bardzo zimno i według ustawy czy zarządzeń nie powinno się wtedy trzymać w karcerze nikogo, ^{ponieważ} trzeba było ustawowe minimum siedem stopni, było zimno, ja nie mogłam wziąć ogryjki, potem koleżance udało się w jakiś sposób wyprosić u komendanta karceru, żeby pozwolił mi dać ciepłogryjkę i rzeczywiście ją dostałam i kiedy położyłam się tam na prycy, to mi przymarzły włosy do ściany, więc zesłam z prycy i położyłam się w kątku tej celi, światło padało tylko nad drzwiami, gdzieś z góry, z korytarza i ja zasnęłam sobie w tym kątku i w pewnym momencie obudził mnie jakiś pisk. Kiedy się obudziłam, to stwierdziłam, że przy nodze siedzi szczur, widocznie poruszył mnie za nogę i zapliskał - przeraziłam się ogromnie, bo nigdy nie miałam kontaktu ze szczurami, a szczury tam były ogromne, pra-

wie wielkości kotów - one nie raz po kilkanaście sztuk buszowały po naszym baraku - i tu przerażyłam się okrutnie, bo w świetle padającego światła z korytarza te czerwone oczy szczura wpatrzone we mnie budziły grozę, ale potem - siedzi nie ucieka - zaczęłam do niego przemawiać i siedział nie zbliżając się do mnie - ponieważ w tym okresie bardzo lubiłam sobie śpiewać, więc zaczęłam śpiewać i w końcu uciekał tylko wtedy, gdy przychodził komendant tego karceru, żeby mi podać coś do picia, czy coś do zjedzenia. Przesiedziałam tam dziesięć dób razem ze szczurem. Rzuciałam mu okruszki chleba, on je zjadał, siedział dalej, nie uciekał. Ja nawet przestałam się go bać, ale było ciekawie, bo gdy śpiewałam, to on cały czas siedział. Potem, po wyjściu z karceru opowiadały Rosjanki, że przed naszym przyjazdem ktoś był pogryziony przez szczura, odgryziony nos, palce, że one atakują człowieka i były zdumione, że ten szczur nie zrobił mi żadnej krzywdy. Zaczęły dociekać, dlaczego i doszłyśmy do wniosku, że historia już mówi, że dzięki muzyce, jakiemuś śpiewowi udawało się kiedyś w starożytności wyprowadzać szczury z miasta i to chyba nie legenda, a prawda. Okazało się, że szczury są bardzo muzykalne i wrażliwe na muzykę - i ten głos, że do niego mówiłam, że śpiewałam, uratował mnie od pogryzienia. Historia ta rozeszła się potem wśród innych obozów, bo to był jednak taki fakt, że te szczury nas tam dopadały. Ten karcer opłaciłam potem pobylem w szpitaliku, bo zdrowie nie wytrzymało tego mrozu, ale potem jakoś to przeszło. Pracowałyśmy w sowchozie zimą przy wyrębie lasów, a latem sadiłyśmy jakieś rośliny, które można było sadzić w tym klimacie, tj. buraki, coś w rodzaju brukwi. Chodziłyśmy też czasami na sianokosy, nauczyłam się tam kosić bardzo dobrze - to było już wyróżnienie - część grabiła, część kosiła. Kosy klepał nam specjalista. Na sianokosach była dokuczliwa maskara, taka drobna muszka, że nawet nakomarniki przed nią nie

chroniły, one rozjadały powieki i nieraz ze spojówek spływała krew. My na sianokosy chodziłyśmy bardzo daleko i dużymi tasakami rąbałyśmy też małe brzoźki i kwiaty wysoko rosnące, które się nazywały inawczaj - musiałyśmy wyrobić 200 kilo tych brzoźek, tej trawy na osobę - 200 kilo na osobę trzeba było ściąć. Chodziłyśmy w takich łapciach, które dostawałyśmy na określony czas i jeżeli któraś zdarła te łapcie, zgubiła, czy coś, to mogła nie otrzymać normy - było też tak, że łapcie suszone w suszarce, były ukradzione. Z nami siedziały kryminalistki i one kradły - najgorsze przeżycia były, gdy one ukradły onuce, którymi trzeba było owinać stopy i ukradły łapcie. Ja też kiedyś miałam taki moment, że ukradziono mi i onuce i kapcie i wyszłam na rozwód /nie wiem, jak to jest po polsku/, kiedy wszyscy wychodzą do pracy i stanęłam w tej bramie bosa, ale nie mogłam się nie stawić, bo bym była ukarana karcerem za niestawienie się do pracy. Zawsze dla zasad jakiejś tam gry, był przedstawiciel samczasti na rozwodzie, była bardzo sympatyczna pielęgniarka, dojrzała mnie bosą i cofnęła - uniknęłam wyjścia na bosaka, dostałam łapcie, ale muszę powiedzieć, że bardzo mi ta scena utkwiała w podświadomości, bo już po powrocie do Polski, przez parę lat śniło mi się, że ukradziono mi łapcie, a ja muszę iść do pracy. W związku z tym, że miałam krwotok, wyglądało, że płucny, zostałam odwieziona do centralnego szpitala w Pietłosian. Tam siostrą przełożoną była Polka i starała się mi pomóc, rozmawiała z głównym lekarzem i innymi ludźmi i starano się mnie tam zatrzymać na terenie szpitala. Tam skończyłam kurs medyczny, laborantek i zaczęłam pracować w laboratorium, gdzie kierowniczką laboratorium była Żydówka z Polski, ogromnie sympatyczna i życzliwa dla nas, pani Helena, bardzo ją mile wspominaam, potem wróciła do Polski i tu się z nią nieraz spotykałam. I tak się zaczął etap inny, pracy na terenie szpitala, zbliżenia do medycyny, obserwowania całego grona wielkich specjalistów, któ-

=W?

rzy tam byli w tym obozie jako więźniowie, a część była tzw. ludzi wolnych, którzy zostali jakgdyby internowani, za jakieś tam przewinienia lub brak zaufania do nich. Ale byli to lekarze z bardzo sławnych klinik, wiele znanych osób. I tam, w atmosferze nauki, w atmosferze dużej chęci pomocy dla ludzi, byli bardzo życzliwi dla nas, więźniów - obserwując doskonałą organizację pracy lekarza głównego i innych - tam też, gdzie zetknęłam się z Polakami, właśnie Ruszczyk, potomek Ruszyca zmarł na moich rękach, taki chłopak Polak, który umierając naraka prosił, żeby przekazać w jakiś sposób wiadomości do domu, do dziewczyny, pamiętam, że trzy koperty nam wręczał, mnie i koleżance - tam zrodziło się we mnie postanowienie, że na pewno wrócę i na pewno zostanę lekarzem. Dałam sobie wtedy słowo i dotrzymałam tego słowa. Wróciłam, skończyłam studia i zostałam lekarzem. Byłam tam przez kilka lat, czasami tylko kazano nam wychodzić do jakiś rozładunków, na obszcziye raboty.

II strona

żebyśmy pamiętały, kim jesteśmy i jak nam dobrze na tym ciepłym miejscu. Ja miałam status katorżnika i oficjalnie nie wolno nam było zajmować innych stanowisk, jak fizyczne i oficjalnie nie mogłabym być sanitariuszką, oficjalnie powinnam cały czas być na obszczich rabotach. Ale ponieważ trafiłam jako pacjenta i trafiłam na ludzi, którzy chcieli nam pomagać, nam młodym dziewczynom - może to pozwoliło, że mogłam tam być. Tam spotkałam wiele osób bardzo wartościowych, byli tam literaci, poeci, ludzie, którzy też w jakiś sposób byli ochronieni przez tamtych ludzi. Pamiętam np. Marię Michajłowną, która leżała jako pacjentka, ona nie chodziła, miała gruźlicę kości nóg, ale wokół niej zbierały się osoby, które chciały odetchnąć innymi myślami, ona często nawiązywała do literatury - ona pisała wiersze, czytała je chętnie. Kiedyś od niej dostałam czekoladkę i na niej napisany wierszyk po rosyjsku, ja to mam,

ale nie mogę odczytać, bo jest tak słaby teraz druk, że trzeba by było przez lupę odczytać, ale jakieś bardzo miłe słowa w tym wierszyku są zawarte, na tym opakowaniu od czekoladek o nazwie Złota Kotwica /Załatuj Jakorn/. Do końca mojego pobytu, była ona tam, potem została zwolniona, ale była w tym obozie dwadzieścia z górą lat - ona była z tych czystek 1937/38 roku, nie opowiadała o sobie, bo rodzinnie była związana z osobami w rządzie, tylko chętnie rozmawiała na temat literatury, pisarzy, poezji. Była na statusie: czlen siemii wroganaroda, chyba miała wyrok 25 lat i chyba tyle odsiedziała. Jeszcze pamiętam takiego poetę Górwicza, który pracował jako brat medyczny - był pisarzem, był poetą, pisał bardzo ładne wiersze, pisał na terenie obozu też, często likwidowano je przy rewizjach w barakach. Był jeszcze Arkadij Jakimowicz, nie pamiętam jego nazwiska, bardzo uzdolniony człowiek i jeszcze parę osób. Był np. między nimi jakiś literat - byłam zachwycona jego możliwościami opowiadania, to nie był człowiek, który się chociaż raz zająknął czy zatrzymał, kiedy się go słuchało, to tak, jakby ktoś czytał książkę. To wszystko składało się na ogólne wrażenie ludzi, którzy żyją swoim życiem wewnętrznym - ja tam przeczytałam wiele książek z literatury rosyjskiej - było to nieoficjalne, książki przynosili wolni lekarze, którzy tam pracowali, przynosili dla nas, żebyśmy przeczytali. Nie mieliśmy tego w baraku, ale na terenie szpitala.

Przeżyłam tam także taki miły moment. W laboratorium, gdzie potem pracowałam zrobiliśmy Wigilię. Na tej Wigilii było sporo osób, bo były Łotyszki, Estonki, Litwinki, Ukrainka, byłyśmy dwie Polki z koleżanek, był Polak, który pracował jako medbrat /felczer/, było tych dwóch poetów przede mną wspomnianych, jeszcze był Estoniec. Z chleba upiekliśmy w piecu niby tort chlebowy /z sucharów/ - specjalistką była moja koleżanka i coś jeszcze. Usiedliśmy na podłodze, żeby z okien nie było widać, w razie, gdyby konwojenci robili

obchód na terenie szpitala, my wszyscy byliśmy niby na dyżurach, wtedy i przekłamując się tym chlebem, zaśpiewaliśmy wspólną piosenkę, którą wszyscy znali, po niemiecku jest to piosenka dotycząca ściśle Bożego Narodzenia "O tanen Baum", po polsku nie dotyczy ona Bożego Narodzenia, zaśpiewaliśmy jeszcze "cichą Noc", która jest we wszystkich językach - każdy śpiewał w swoim języku te dwie kolędy i to było niezwykle, dla wszystkich zostało to wielkim przeżyciem. W naszym obozie tylko my dwie z koleżanką i jeszcze siostra przełożona byliśmy Polkami, a przeważali Rosjanie i Ukraińcy, bardzo dużo było Ukraińek, chyba można powiedzieć, że jeżeli chodzi o ludzi odsiadujących wyrok, to przeważająca liczba była Ukraińców, jeśli chodzi o obsadę szpitala, to przeważająca liczba była Rosjan. To był szpital centralny w miejscowości Wietłosian, okręg Uchty, komi SSSR, czyli bardziej na południe. Potem zostałam przesłana jednak na katorgę do Workucji. Można jeszcze opowiedzieć o przeżyciach natury okropności, może warto. My dziewczęta mieszkaliśmy w Zonie, takim wyizolowanym kawałku, na tle całego ogromnego obozu, gdzie się mieścił szpital, była Zona szpitalna, była bardzo duża Zona z barakami męskimi, była Zona żeńska i jeszcze Zona przemysłowa /dziewczęta tam zajmowały się krawiectwem i innymi rzeczami/. Zeby przejść z naszej Zony do szpitala, trzeba było przejść obok baraków męskich na pewnym odcinku. Zdarzyła mi się taka okropna historia. Kiedyś przechodziłam koło baraków męskich - ja tego nie widziałam, przechodziłam koło grupy, która grała w karty, to była grupa kryminalistów, recydywistów, w największym stopniu błatnych i grali w karty o kogoś, kto pierwszy przejdzie koło ich okien i trzeba trafu, że przeszłam właśnie ja, nic o tym oczywiście nie wiedząc. Poszłam do szpitala nic o tym nie wiedząc. To przegranie oznaczało, że został na mnie podpisany właściwie ostatecznie wyrok śmierci, z tym, że jak gdyby oni

mnie brali mnie w swoje władanie i mogli ze mną zrobić, co chcieli, mogli zgwałcić, zabić, zamordować, tak po prostu grali o kogoś. Tak się nieraz zdarzało, że kogoś przegrali w karty, zamordowali tego kogoś, to w zasadzie była ich taka rozrywka normalna. I ja o tym nic nie wiedziałam. Ale w szpitalu obok był gabinet dentystyczny, do którego przychodzili ludzie z różnych grup, a prowadził ten gabinet człowiek z południa, jakiś Gruzin czy Ormianin, oni ze sobą mieli lepszy kontakt i któryś z tych błatnych kryminalistów powiedział temu, że ja zostałam przegrana w karty. Powiedział mi o tym ten lekarz, bo to był lekarz dentysta i wszyscy na terenie szpitala o tym wiedzieli, ale nie wiedzieli, jak temu zaradzić, nawet główny lekarz przekazał to do komendanta obozu, ale ten też nie miał jakiejś możliwości, żeby temu w jakiś sposób zapobiec, bo zdarzało się i tak, że wysłany jakiś konwojent w celu, żeby zrobić jakiś porządek, był mordowany przez tych ludzi. Właściwie żyliśmy wszyscy w jakimś napięciu, w jakimś strachu, ja ta już zupełnie nie wiedziałam, co robić, jeżeli wszyscy inni też nie wiedzieli. I trzeba trafić, że na terenie oddziału wewnętrznego znalazł się jeden z tych królów tych bandziorów, bahan, człowiek ze Wschodu, który ogromnie sobie upodobał jedną z sióstr, Estonkę, z którą byłam zaprzyjaźniona. Nazywała się Made Tiker Pu, przeurocza, miła dziewczyna. I kiedy ten bandzior zobaczył, że ona chodzi taka zmartwiona, zapytał, czego ona się tak martwi, a ona mu się zwierzyła i powiedziała, że zdarzył się taki wypadek, że jej koleżanka została przegrana w karty. I któregoś wieczoru ten bandzior znikł z terenu szpitala, nagle zginął, zaczęto go szukać, nie wiedzieli, gdzie on się podział. Okazuje się, że ten człowiek poszedł do baraku w którym mieszkali ci, co grali w karty i z każdym z nich po kolei grał o mnie. Odegrał od nich mnie, mój los i wrócił po dwóch dniach do szpitala i powiedział do Mady, żeby mi powiedziała, że nic mi

już w tej chwili nie grozi, nic w zamian za to nie żądając, po prostu chciał zrobić przyjemność tej Mady, która była zamartwiona moim losem w tym momencie. A przecież ci ludzie byli do wszystkiego zdolni. Ja przypominam sobie w pierwszym okresie, kiedy byłam w Sedju, wśród kryminalistek - kiedy przysłuchiwałam się ich opowiadaniom, kiedy one opowiadały o jednym, drugim zamordowanym, zdawało mi się, że opowiadają jakąś książkę, tych kilkanaście różnych morderstw - okazało się, że były to opowieści z ich własnych przeżyć, ich własnego życia, także dla tych ludzi wszystko było możliwe i nic nie znaczyło życie jednego człowieka. Było to straszne przeżycie i nikt z naszej grupy nie sądził, że coś takiego może zaistnieć. To nie było moje jedyne zetknięcie ze światem przestępczym. Jeszcze w poprzednim obozie, gdy pracowałam przy wyrębie lasu, to byłam świadkiem takiego momentu, jak jedna z kryminalistek, właśnie na wyrębie lasu, złapała siekierę i rąbnęła w głowę drugą dziewczynę, po prostu, zabiła ją na miejscu, na moich oczach. Potem okazało się, że ona miała dość tego rąbania lasu i zależało jej na tym, żeby na pewien okres została przeniesiona do więzienia, na śledztwo, gdzie są lepsze warunki, gdzie nie trzeba pracować, gdzie podadzą jeść.

Przypominam sobie jeszcze jedną taką historię w Sedju, w dużym baraku była Rosjanka i Cyganka i one się przyjaźniły. I w naszym baraku staruszka była dniewalną /dyżurną porządkową/. Pewnego dnia ta Cyganka siedzi przy piecyku i gra, gra, coś tam śpiewa, a w tym czasie ta druga jej koleżanka za piecyk zaprowadziła tą staruszkę i zamordowała ją po to, aby one dwie mogły wydostać się z tego obozu, dostać się do więzienia, może jakieś nowe kontakty, nie prawiłyby ciężko w tym okresie - byłby to dla nich taki przerywnik, bo tych lat więzienia miały one dużo, bo ciągle jakieś przestępstwo ~~wdawiało~~ dodawało im tych lat do odsiedzenia. Jeszcze pamiętam, że jak kładłyśmy się spać, to do siebie przypinałyśmy agrafkami, co

miałyśmy - na początku miałyśmy jeszcze swoje płaszcze, swoją odzież, to wszystko było wokół nas przypięte, bo inaczej wstawaliśmy i niczego nie było. W pierwszych dniach nie wiedziałyśmy o tym, to się okazało, że nie ma naszych butów. Agrafki tak były przypinane do tych rzeczy, że jak ktoś jakąś rzecz ciągnął, to czułyśmy że ciągnie i budziłyśmy się. Ale czasami patrzyły na nas z tęsknotą za innym życiem, za innym światem, prosiły, żebyśmy opowiadały trochę o sobie, starały się nieraz pożyczyć nam swoje naczynia, z tym, że naczelnik obozu uprzedzał, żeby nie pożyczać od nich, bo prawie wszystkie one były chore na choroby weneryczne, prawie każda. Na początku bałyśmy się ich, naczelnik do nich apelował, żeby nie robiły nam krzywdy, że my nie znamy takiego życia, one odczuwały, że my byłyśmy inne, nie wiem, jak nas nazywano, nie słyszałam. Potem zostałam przesłana specjalnym etapem na katorgę, dotychczas był to obóz karny, ale nie była to katorga. Workuta, to dopiero była katorga, tam miałyśmy numery na ubraniach, numery te były w okolicach kolan na sukience, na plecach na ciepłogiejce i na sukience też na plecach, na czapce chyba nie. Pamiętam, że mój numer zaczynał się C 278, ale nie pamiętam dokładnie, zapomniałam ten swój numer, nosiłam ten numer już do końca pobytu, tj. do końca 1954 roku, od roku 1951, czyli cztery lata. To już był bardzo srogi obóz, ze srogim regulaminem, trzeba było już z daleka klaniać się każdemu konwojentowi, zwłaszcza kobiety były bardziej bezwzględne, bardziej wymagające były te konwojentki, przypominały mi z filmów konwojentki niemieckie, one były takie srogie, bardziej niż mężczyźni. Tam już z daleka trzeba było wołać: ^zzdawstwuście grażdaniin nadzieratiel. Robiła rewizję osobistą, bardzo dokładnie, ja tam też byłam w karcerze. W pierwszym roku pobytu w Workucie trafiłam do karceru, bo na Boże Narodzenie zrobiłam sobie choinkę i św. Mikołaja i za to siedziałam. Tam były same kobiety, to była cegiel-

nia i na początku pracowałam przy piecach, przy wyrobie cegieł, /przy wyładunku i załadunku, nie była to dobra robota/potem przez pewien czas budowałyśmy nad tymi piecami zadaszanie, więc biegałyśmy po tych krokwiach bez żadnego zabezpieczenia a potem nasza praca koncentrowała się głównie na oczyszczaniu ze śniegu, bo tam to w zasadzie, za wyjątkiem kilku tygodni, śnieg cały rok na okrągło /chyba to były 3 tygodnie, kiedy kwitły kwiaty i był piękny dzień i całą dobę jasno, ale potem bardzo szybko znowu zima/.

III/55 Stenia

I strona

Praca ta nazywała się śniegobarba. I tutaj też zdarzały się takie drastyczne momenty. Przypominam sobie taki moment, była purga /nie wiem, czy jest znane to zjawisko, ale zaczyna się tak, że zaczyna padać śnieg, spadają płatki śniegu coraz większe, aż do takich wielkości dłoni, spadają bardzo powoli, a potem zaczyna się wiatr, tak mocny, gwałtowny i wyjący, że nie słyszy się głosu osoby stojącej obok, jest takie przeraźliwe wycie tego wiatru i ten wiatr jest taki silny, że my ubrani w ciepłogrzejki i burszłaty, czujemy się prawie nago, bo ta siła wiatru przebija tym śniegiem, dlatego że wszystko staje się mokre, od razu staje się pokrywą lodu i ta wilgoć śniegu dochodzi aż do skóry, do ciała. Oczywiście to są wtedy duże mrozy, przeżyłam mróz siedemdziesięciostopniowy łącznie z siłą wiatru, która powoduje zwiększenie mrozu. Ubrani ciepło, grubo, z ochroną na twarz, miałyśmy bardzo liczne odmrożenia i twarzy i rąk i nóg. I to zjawisko purgi polega na tym, że bardzo szybko dochodzi do sześciometrowej nieraz wysokości takich nasypów śnieżnych, z tym, że jest to tak mocno zbity śnieg, że można go tylko rozbić jakimś kilofami. Ten śnieg momentalnie zasypuje wszystkie przejazdy kolejowe i myśmy były kierowane na akcję odsnieżania. Najrozsądniej było prowadzić na taką akcję po purdze, ale bywało,

że wysyłano nas w okresie tej purgi, wtedy nawet konwojenci nie chcieli prowadzić tych brygad, bo zdarzały się takie wypadki, że cała brygada razem z konwojentem była zasypana śniegiem. Przypominam sobie taki fakt, że zostaliśmy wysłane do odśnieżania, a właściwie do zrobienia tunelu w tym sześciometrowym śniegu, tunelu umożliwiającego przejazd pociągu, lokomotywy z wagonami. Robiliśmy to, staraliśmy się, żeby ta lokomotywa się zmieściła, ale przy minimalnym naszym wysiłku, żeby wyciąć tylko tyle, ile potrzeba, bo nie nadążaliśmy, śnieg ciągle zasypywał, nie było słyhać, co kto mówi i było niebezpiecznie i strasznie i nigdy więcej /ani przedtem, ani potem/ nie usłyszałam tyle przekleństw skierowanych do Boga, rodziców, świata, do wszystkich. Naszą brygadzystką była kobieta, Rosjanka i w czasie purgi, w pewnym momencie, przez ten ryk wiatru zupełnie nie słyhać było lokomotywy gwizdu i poprzez śnieg dojrzałyśmy błysk reflektorów lokomotywy - momentalnie przywarłyśmy do tych śnieżnych ścian, żebyśmy nie znalazły się pod pociągiem, niestety, brygadirkę zahaczyły koła lokomotywy i została pociągnięta przez lokomotywę ze 20-30 metrów, aż natrafiła na zwrotnicę i na tej zwrotnicy zginęła. Spódnica jej wkręciła się w koło lokomotywy i tak zginęła. Była szczupłą kobietą, ale te brigadirki zawsze tak się ubierały, że jeszcze na spodnie zakładały spódnice, był silny podmuch wiatru i jej tą spódnicę wkręcił. Zginęła na tej zwrotnicy od razu, pociąg wogóle nie słyhał, pojechał dalej, konwojent też nie słyhał, co się stało, potem niosłyśmy ją do Zony, nie była poturbowana, uderzyła się klatką i nastąpiła zmiążdżenie narządów wewnętrznych. To były prace syzyfowe, i ciężkie i niebezpieczne i w zasadzie na drugi, trzeci dzień trzeba było robić to samo, rąbać tunele. I do tego sprowadzała się praca zimą, do odśnieżania tych dróg. W okresie letnim pracowałam przy budowie kolei - jeśli sobie przypomnimy, jak wygląda mapa Europy i Azji, to tak patrząc, jak się Ural kończy do góry, to tam jest

przesmyk nizinny i na tym odcinku zaprojektowano kolej. Ale żeby tą kolej budować, trzeba było opanować tundrę. Tundra jest niesamowita, pomijając, że nie rosną tam żadne drzewa, tylko takie krzaki płozące się, stwierdzałyśmy, że to krzaki brzozy, bardzo maleńkie, zupełnie przy ziemi, ale co ciekawe, były tam takie kępy o średnicy pół metra, może trochę więcej, grzywiaste, jak gdyby wysępki małe wśród wody dosyć głębokiej, do paru metrów. I właściwie w tej wodzie wyrastały te słupy, zielone, grzywiaste, po których myśmy skakały. Budowa tej kolei początkowo wyglądała w ten sposób, że sypałyśmy do tych przestrzeni między poszczególnymi kępami, żwir i kamienie, sypałyśmy dotąd, aż były możliwości suwania po tym terenie taczek, dalej usypywałyśmy coraz więcej tych kamieni i potem była już możliwość położenia szyn, wówczas na te szyny wtaczały się wagonetki, coraz cięższe, wyładowywałyśmy z wagonetek żwir i kamienie, a potem, gdy ten grunt już był tak przygotowany dobrze, że już na te szyny przepychano całe platformy. Normą naszą np. na dwie dziewczyny było rozładowanie pełnej platformy załadowanej żwirem i kamieniami. To żeśmy zrzucały na bok, potem z boków robiło się podsypkę w kierunku torów i ubijałyśmy i coraz dalej i dalej posuwałyśmy się w tundrę. Te studnie przez swą głębokość były bardzo pojemne. Była tam niesamowita ilość komarów, to było coś niesamowitego, byłyśmy pokryte komarami, była też i meszka, ale przede wszystkim komary. I potem, po kilku latach dowiedzieliśmy się, że kolej ta była budowana przez komsomolców - kolej łącząca Europę z Azją, to była ta kolej, w której budowaniu ja też brałam udział.

Na Workucie czasy były bardzo głodowe, miałyśmy bardzo małe racje chleba, miałam ten ostatni, najostatniejszy katiełek, właściwie znacznie się polepszyło po śmierci Stalina, racje chleba już były większe i była już norma pracy wprowadzona, bo myśmy pracowały tak, że od rana do późnej nocy, potem przespać się kilka godzin, potem

podrywano nas znowu, bo korzystano z tego, że są długie, białe noce i miałyśmy nienormowany dzień pracy, potem zwracano uwagę na to, że nie można przekroczyć tych dwunastu godzin pracy, a przecież do tej pracy trzeba było dojść dobrych dwadzieścia kilometrów i wrócić z powrotem - w walonkach zimą, to toczyłyśmy się, jak kulki, ubrane ciężko w burkаты długie, czapki, zakutane, jak kosmonauci. Potem te warunki nieco się polepszyły i te pajdki chleba stawały się większe. Na początku nie wiedziałyśmy, co zrobić z tym chlebem, czy zjeść go rano, czy rano tylko wypić wodę gorącą /kapatok/ a chleb zostawić na południe, a wieczorem przyjść i dostać zupe, obiad - nie wiadomo było, jak dzielić. Z tego okresu też mamy takie przeżycie. Po to, żeby zjeść ten chleb, próbowano zrobić sobie przerwę w pracy, żeby usiąść gdzieś i ten chleb zjeść. Jednego dnia, zrobiono sobie taką przerwę siadając gdzieś na kępie i zajadając ten chleb, jak to młodzież, zaczęto sobie coś tam opowiadać, ktoś to podchwycił, zaczęto się śmiać i nagle podbiegł konwojent, kazał natychmiast zamilknąć, żeby się nie śmiać - a na to jedna z tych kobiet mówi: a co, strzelać będziesz? Będę! To strzelaj! I on otworzył ogień do sześciu dziewcząt siedzących razem, jedną zabił od razu, druga była ciężko ranna, jeszcze kogoś w rękę ranił, ale sama przyszła, a tą ciężko ranną i zabita przyniesiono do obozu. Zaczęły się protesty, wyobrażałyśmy sobie, że on zostanie w jakiś sposób ukarany, a on został nagrodzony za usmierzanie próby ucieczki. Ja potem tam znowu ciężko zachorowałam i znalazłam się w szpitalu. Wykorzystano ten moment, że ja poprzednio pracowałam w centralnym szpitalu jako laborantka i tam poproszono mnie, żebym w takim małym laboratorium wykonywała badania. Przeszłam ciężkie zapalenie płuc i jakaś taka historia z płucami tam pozostała. Przez pewien czas pracowałam w laboratorium, ale niedługo, bo narażiłam się znowu w jakiś sposób i znowu zaczęłam pracować na pracach ogólnych i kiedy zbliżał się koniec moich prawie dziesięciu lat byt-

ności w obozie, zostałam przeniesiona na tzw. przedsachtną. Tam były możliwości nawiązywania kontaktów z obozami męskimi, tam też dowiedziałam się, że jeden z kolegów nawiązał kontakt z Polską, że swoją mamą i dzięki niemu została odnaleziona moja mama. To był Olek Zarzycki, który w jakiś sposób zawiadomił swoją mamę, że ja jestem i prosił o odszukanie mojej mamy. W międzyczasie moja mama starając się o mnie i jakieś wieści przez Czerwony Krzyż dostała taką informację, że ja niestety nie żyję. Ale widocznie serce matki nie uwierzyło w to, bo stale poszukiwała mnie i wtedy odnalazła mój ślad. No a kiedy przyszła jesień 1954 roku zostałam zwolniona, mnie się kończył wyrok w grudniu, a ja zostałam zwolniona o dwa miesiące wcześniej, jakoś chyba za uwzględnienie pracy czy coś w tym rodzaju. Końcówka też była bardzo nieprzyjemna. Zawieziono nas do takiego punktu, obozu męskiego, strasznych katorżników, gdzie w środku - nie wiem, dlaczego tak było planowane - tego obozu był budynek, otoczony podwójnymi drutami, do którego przywożeni ludzie, którzy za kilka dni mieli wyjść. Ja zostałam tam przywieziona - mój pobyt tam się przedłużył, a to z tego względu, że na początku kiedy mnie wezwano i powiedziano, że ja już będę zwolniona, dano mi do podpisania taki papier, że ja zostaję jako obywatelka Komi, mieszkanka Workuty, ja tego nie podpisałam, powiedziałam, że jestem obywatelką polską i ja nie podpiszę, no to mi powiedziano, że wobec tego ja wrócę do obozu. To ~~krz~~ dobrze powiedziałam, to wrócę, ale nie podpiszę. I wróciłam nie wiedząc wogóle, co dalej będzie, ale jednak widocznie nie mieli prawa przetrzymywać dłużej, bo opóźniło to moje wyjście o około tydzień, ale potem zostałam wypuszczona.

W tym baraczkach jeszcze przeżyliśmy historię mnożącą krew w żyłach, Wszyscy ci kryminaliści, dowiedziawszy się, że tam siedzą młode dziewczyny, zaczęli pokonywać to ogrodzenie, wdarli się na dach tego domku i krzycząc, że nas dopadną, pogwałcą, zaczęli rozbierać

rzeczywiście po kawałku ten dach. Myśmy wszystkie straszliwie zaczęły krzyczeć, a oni rozebrali już dach i byli na stryszku drugi daszek rozbierali. Wezwane dodatkowe oddziały pomocnicze w porę zaczęły ich ściągać, bo oni już rozbierali deski, które były sufitem, te oddziały pomocnicze tych wartowników dopiero ich ściągnęły chyba grożąc im czy nawet kierując do nich jakąś broń - myśmy przeżyły to straszliwie, nie spałyśmy całą noc. Było nas wtedy kilkanaście w tym baraku, ja byłam jedyną Polką wtedy, w tym momencie. Ale jeszcze muszę powiedzieć, że było jeszcze parę lat takich, w tej cegielni gdy pracowałam, w tzw. Kirpicznyj pierwszy, że byłam jedyną Polką - i przypominam sobie, że wychodziłam przed barak, spacerowałam wokół baraku i powtarzałam do siebie Mickiewicza, jeszcze pamiętałam "Dziady", różne wiersze powtarzałam sama do siebie, żeby nie zapomnieć języka polskiego. Ale wreszcie przyszedł ten dzień, że wezwano mnie ze wszystkimi rzeczami i wypuszczono. Wypuszczono mnie przed bramę - pustkowie i na spotkanie mnie wyszła moja koleżanka, która wyszła przede mną z innego obozu, ale byłyśmy bardzo zaprzyjaźnione, wiedziała, że w tym dniu wychodzę, spotkała mnie, to Janka Zuba. I tak się zaczęła moja wolność za drutami. Są zdjęcia z tego okresu. Wtedy, kiedy wyszłam z obozu, to zwolnionych z obozu było już około setki. I te wszystkie osoby wychodzące z obozu były przytulane przez rodziny, które znajdowały się tam na tzw. wysiedleniu, ale nie były karane, nie były sądzone, nie siedziały za drutami, tzw. swobodnoje pasielienije. Myśmy z Janką zatrzymały się w takiej rodzinie, która była tam od 1939 roku, był to pan Bolesław, nazwiska nie przypominam sobie, w Workucie mieszkali w małym domku, z pięć, sześć pokoi, myśmy do jednego pokoiczku trafiły ale potem stamtąd ja postarałam się o pracę i przejechałam na kopalnię szesnastą czy osiemnastą i tam byli państwo Jackiewiczowie. Ta pani pracowała jako siostra medyczna, a pan pracował w kopalni.

Ja u nich znalazłam schronienie i też zaczęłam pracować w laboratorium, a potem dostałam ciupinę pokoik, który był 3x2 metry, ale w tym pokoiku postawiłam tapczan, jeden z Polaków dorobił ławeczkę, która służyła do tego, aby można było zrobić posłanie na całą szerokość pokoju i koleżanki, które przychodziły - były zwalniane - przychodziły do mnie, także wkrótce było nas cztery. Była to Janka Zuba, Halinka Kowalewska, Wandzia Kozłowska i we czwórkę, ku zdziwieniu wszystkich, jak się tam mieścimy.

II strona

Ja się śmiałam, że jak kładłyśmy się spać, otwierałyśmy szeroko bardzo lufcik, żeby mieć jak najwięcej świeżego powietrza i jak ja wystawiałam palec spod kołdry i palec zaczynał mi marznąć, zamykałyśmy lufcik. W tym pokoiku dotrwałam aż do mojego momentu wyjazdu stamtąd. Jak się ten wyjazd odbył? Odbył się w taki sposób, że ja twierdziłam zawsze, że my wrócimy do Kraju, chociaż tam, część wierzyła a część uważała, że nie może to nastąpić, ale ja wierzyłam, że na pewno wrócimy. Zdecydowałam się na to, że poszłam do NKWD w Workucie i powiedziałam, że mnie jest wiadome, że jest podpisane porozumienie polsko-radzieckie, na mocy którego my mamy prawo powrotu do domu. I o dziwo, nie powiedziano mi, że takiego porozumienia wogóle nie ma, początkowo potraktowano to dłuższą chwilą zastanowienia, ale w końcu powiedziano mi, że rzeczywiście, istnieje taka możliwość, ale musi być zaproszenie od rodziny. Wobec tego ja musiałam w dziewięciu, czy w dziesięciu egzemplarzach zdobywać przeróżną dokumentację, nawiązać kontakt z moją mamą i prosić o zaproszenie. Dotarła ta korespondencja do mojej mamusi, zrobiła ona wszystko, co można, żeby takie zaproszenie wysłać i kiedy przeszło to przez wszystkie instancje, nie wiem, co tam jeszcze potrzeba było, w każdym razie dokładnie pamiętam ten dzień - było to 22 maja. Wszyscy byliśmy zebrani na

posiołku u pani Heleny Zeromskiej, na jej imieninach. Zawsze staraliśmy się takie okazje wykorzystać, ażeby móc się spotkać, pośpie-
wać razem wszystkie nasze piosenki i partyzanckie, i polskie, po-
deklamować sobie, w każdym razie pobyc razem. I to były dla nas
bardzo ważne chwile, ważne momenty. Spotykaliśmy się i w domach
państwa Jackiewiczów, i państwa Weberów, którzy też w tym czasie
mieli dom otwarty dla wszystkich - właśnie pan Weber, to był ten,
który najwięcej robił zdjęć, zdjęć z naszych spotkań i z pogrzebu,
który odbył się tam jednego z naszych Polaków, i także z imienin
u pani Jackiewiczowej. Na takie zebrania nie było zaproszeń, po-
prostu wszyscy szli, bo to była okazja, żeby się spotkać i jeden
drugiego ciągnął na te spotkania, żeby porozmawiać, poszukać jeden
drugiego, dowiedzieć się może jeszcze o kimś. Ja nie przypominam
sobie, czy żeśmy coś tam jedli i co jedliśmy, ale wtedy już zara-
bialiśmy pieniądze, bo pracowaliśmy jako wolni. Wiem, że u państwa
Jackiewiczów i Weberów, to były ich własne, przez nich urządzone
przyjęcia. Na zdjęciach widać, że stół był zastawiony. W tym dniu,
kiedy wróciłam do domu, do tego pokoiku, zastałam nadrzwiach powie-
szoną karteczkę, że mam się zgłosić po odbiór pozwolenia na powrót
do Kraju. Popłakałyśmy się obie z Janką. Kiedy ja złożyłam dokumen-
ty jeszcze złożyło ze mną dwóch panów, przyjęli tą samą metodę po-
stępowania. Jeszcze muszę wspomnieć taką rzecz, że będąc w NKWD, to
nie od razu mi odpowiedziano, tylko powiedziano mi żebym zgłosiła
się za tydzień i za tydzień poszłam po odpowiedź, ale wyposażona
w zmianę bielizny, trochę jedzenia, oczekująca wszelkiej możliwości
która może mnie tam spotkać, ale wtedy usłyszałam tą odpowiedź, że
mogą być te starania na zasadzie zaproszenia. Wtedy ja złożyłam te
papiery i jeszcze dwóch panów i kiedy ja otrzymałam pozwolenie, to
ci panowie po tygodniu, czy po dwóch też dostali takie zawiadomie-
nie i razem musieliśmy polecieć Sykty^Kkaru, to jest stolica Komi.

Tam była tylko jedna możliwość się dostać - polecieć samolotem po odbiór paszportu. Samolot ten wyglądał jak nasz kukuruźnik, dwupłanowiec, ogłuszeni warkotem i niesamowitym dźwiękiem tego samolotu.

Ten okres, kiedy byłam już wolna, ale musiałam być w Workucie, to wspominam jako okres ogromnie życzliwych i serdecznych kontaktów z tymi wszystkimi ludźmi, to było takie zbratanie, to była jedna wielka rodzina, byliśmy sobie bardzo bliscy, tam każdy kto się zjawiał, starał się drugiemu pomóc. Wogóle, w tym okresie, na tle tych podłości, tych przeżyć, spotkałam dużo serdecznych ludzi i właśnie ich uczciwość, serdeczność, życzliwość była w szczególny sposób widoczna w tych warunkach. To były charaktery оголоcone od wszelkich konwenansów, od wszelkich form, to byli ludzie tacy, jacy są naprawdę. To było bardzo cenne. Żyliśmy wartościami niezwykłymi, żyliśmy miłością do Kraju, chęcią powrotu do Ojczyzny. Dobroć była widoczna i na wierzchu, ale i draństwo nie było maskowane, szczególnie w obozie. Byli tacy ludzie zarówno w obozie jak i w więzieniu, którzy starali się donosić, ale najczęściej było wiadomo, kto jest kto. Za uzyskanie lepszego miejsca pracy, np. praca stróża, pracownika w stołówce czy gdzieś, ludzie byli gotowi nieraz siebie zamordować, taka też była grupa ludzi, bo czasami to oznaczało również życie /chyba tylko jeden kucharz nie głodował/. Były jeszcze takie momenty, na moim przykładzie, na pewno dotyczyły także innych dziewczyn. Np. był taki moment, że kiedyś w nocy przyszedł konwojent do mnie i powiedział, że wzywa mnie komendant obozu i że mam z nim pójść. Ubrałam się posłusznie i poszłam - zdziwiło mnie tylko otoczenie, że komendant obozu przyjmuje mnie w pomieszczeniu z lustrami przypominającymi coś w rodzaju pomieszczenia fryzjerskiego. Przyjął mnie bardzo ważny pan fryzjer, ja o tym nie wiedziałam, okazało się, że to była bardzo wielka władza, nawet w stosunku do konwojentów, bo to był jeden z wielkich bandziurów. On sobie upatrzył mnie jako swoją partnerkę życiową na

terenie obozu. Ale widocznie coś było^w nas takiego, co ich powstrzymywało od pewnych posunięć. Rozmowa zaczęła się od tego, że on zamknął drzwi na haczyk co mnie ogromnie zdziwiło i nastawiło w takim niemalże pogotowiu bojowym. Kiedy spytałam po co to robi, on odpowiedział, że żeby nam nikt nie przeszkadzał i nagle zaczął opowiadać o tym, że on jest tu w obozie także, że on tu pełni ważną funkcję, że ma tu duże wpływy, ale w zasadzie powinnam się z tym liczyć, że tu w obozie jestem na całe życie, że powinnam znaleźć partnera i że on byłby odpowiednim partnerem, ma on tu możliwości zorganizowania dobrego jedzenia, dobrej pracy, nawet w biurze i żebym ja to przyjęła. Ja oburzona powiedziałam mu, że on wogóle nie wie, z kim on rozmawia, że żadna z Polek nie decyduje się być czyjąś partnerką bez ślubu jakiegoś - on się głośno roześmiał, powiedział, że ja nie znam tych warunków tutaj, on to rozumie, że ślubu żadnego nie ma, po prostu ludzie się łączą, żeby jakoś ten okres przebyć. Ale w każdym razie musiało coś być takiego, co go wstrzymało od innych zapędów, powiedział, żebym ja się namysliła, otworzył drzwi, i konwojent odprowadził mnie na miejsce. Ale na drugi dzień rano ja zostałam wezwana rzeczywiście do naczelnika obozu i komendanta obozu, razem siedzieli i zapytali mnie, czy mnie w nocy ktoś wzywał. Powiedziałam, że tak, że przyszedł konwojent i powiedział, że komendant obozu wzywa. Prosił, żebym opisała, jak to wyglądało. Zapytali mnie, czy nic się nie wydarzyło, czy rzeczywiście on mnie tak wypuścił, ja mówię, że tak, że powiedział, żebym się namysliła. Komendant powiedział, że nie wiadomo, jakie szczęście miałam, czy u Boga, czy to matka wyprosiła, że on mnie wypuścił, bo on nie przepuścił żadnej dziewczynie, zmuszał do współżycia, że to jest największy bandzior. Powiedział, żebym nigdy - nawet żeby przychodziło wielu konwojentów - nigdzie w nocy nie szła, bo nigdy żaden komendant obozu w nocy

nie wzywa, ale wtedy ja o tym nie wiedziałam. Nie wiem, skąd oni się dowiedzieli, ale myślę, że ktoś z baraku powiedział. Ja nawet kiedyś w takim wierszyku sobie pisałam, że jeżeli mnie jakieś nieszczęście i zła dola ominęła, to dlatego żeś Ty mamó w tym momencie do Boga westchnęła. Nie przypominam dokładnej daty ale było to w lipcu, kiedy poleciliśmy samolotem do Syktyłkaru po paszporty, wróciliśmy z powrotem do Workuty, wróciliśmy, bo odjeżdżałam w towarzystwie dwóch panów, pana **Mariana** Swierczyńskiego i Staszka **Duźniaka**. Pan Marian to był starszy pan, Staszek Duźniak był w moim wieku. Razem wróciliśmy do Workuty i razem potem lecieliśmy do Moskwy. W Moskwie zatrzymaliśmy się na parę dni korzystając z lokum rodziny jednej z Rosjank, która nam ten adres podała. Po zwiedzeniu Moskwy - wydaje mi się, że żadnych tam formalności nie musieliśmy załatwiać, chyba tylko w Ambasadzie jakąś pieczętkę, w każdym razie z Moskwy już w kierunku na Terespol odjechaliśmy pociągiem. Zatrzymywaliśmy się w Brześciu, ale z pociągu nie wysiadaliśmy, nawet nie wolno nam było. Ja wiem, że nie przekazywałam żadnej wiadomości do mojej mamy, że wracam, bo wciąż nie wierzyłam, czy rzeczywiście uda nam się przekroczyć granicę. (Już za Brześciem, w pewnym momencie zobaczyłam polskiego żołnierza przy słupie biało-czerwonym. Tak to mną wstrząsnęło, że zaczęłam strasznie szlochać i nie mogłam się opanować. Kiedy przyjechaliśmy do Terespolu, ktoś przebiegał i głośno wołał: panie naczelniku! Takie zwykłe słowa, ale powiedziane po polsku, powiedziane już na polskiej ziemi spowodowały to, że ja nie mogłam z siebie słowa wydobyć. W pewnym momencie wszedł celnik, zapytał, czy mamy coś do oclenia a ja do niego nie mogłam słowa przemówić, jakiś szloch zacisnął mi krtani zupełnie, on patrzył na mnie i widziałam, że też prawie miał łzy w oczach. Nie sprawdził nic u mnie, ani u tych panów, z którymi jechałam, wyszedł

z przedziału, a ja szlochałam tak straszliwie, że nie mogłam się uspokoić - jeszcze wtedy dostałam kartę repatriacyjną w Terespolu. Cała moja podróż do Warszawy była taka, że płakałam straszliwie i wszystkie obrazy, jakie widziałam, wszystkich ludzi, ~~amra~~ wszelkie dowody na to, że jesteśmy na polskiej ziemi, doprowadzały do tego, że ja cały czas płakałam i dopiero, jak znalazłam się w Warszawie zadeszowałam do mojej mamy, że jestem w Polsce. Mamusia mieszkała wtedy w województwie gdańskim w Dzierzgoniu u kuzynostwa. Myśmy się tak umówiły, że mamusia czekała na mnie w Tczewie na dworcu. Muszę powiedzieć, że kiedy jechałam z Warszawy, całą drogę byłam niesamowicie rozstrzęsiona, ludzie siedzący w przedziale sądzili, że ja jestem niemową, bo wogóle nie mogłam odpowiedzieć na ich pytania - miałam tak ściśnięte gardło, że nie mogłam z siebie wydobyć głosu. Dopiero, kiedy wyszłam w Tczewie i poprosiłam, żeby ktoś mi pomógł zdjąć walizkę, to widziałam oczy otwarte ze zdziwienia, że ja mówię. Na peronie nie było nikogo, z daleka zobaczyłam zbliżającą się postać siwiusieńkiej staruszki - to była moja mama. Szła w moim kierunku i nie bardzo mnie poznawała, dopiero jak powiedziałam: mamusiu, dopiero wtedy powiedziała: kochanie moje, i to było tyle słów na pierwsze powitanie. Mamusia potem twierdziła, że ja się nie zmieniłam. Ja moją mamę zostawiłam, no może z siwiejącymi włosami, a tu zastałam ją zupełnie siwiutką. Na zdjęciach z 1955 roku wyglądasz młodo, wręcz smarkato. Mamusia mówiła, że się nie zmieniłam, ale oczekiwała mnie, że wrócę w łapciach, a ja starałam się wyglądać jak najbardziej normalnie. Miałam uszyty kostiumik przez Wandzię Kiałko jeszcze na Warkucie, bo jak miałam wyjechać, to zostałam odpowiednio wyekspediowana, przez dłuższy czas jeszcze w nim paradowałam, bo nie miałam nic innego i w ręku miałam walizkę, a nie jakiś worek na plecach, miałam jakies pantofle. Mamusia nie oczeki-

wała takiego widoku, poznała mnie od razu, ale widocznie wyobrażała sobie, że zobaczy mnie zupełnie inną. Takie było moje spotkanie z mamusią. Kiedy ci się przestał śnić obóz w nocy? Muszę powiedzieć, że na pewno przez bite dziesięć lat mi się śnił, ja nie mogłam nawet swojej mamie opowiadać swoich przeżyć. Każdy moment - jeśli ktoś mnie zapytał i zaczynałam opowiadać - wzburzał mnie do tego stopnia, że ja nie mogłam potem spać, nie mogłam czuć się normalnie i spokojnie, także nie wracałam do wspomnień, starałam się nie wracać i nie mówić o tym. A obóz śnił mi się co noc, naprawdę, bez przesady, nadal byłam w obozie i to było takie uczucie, że ja wyszłam z obozu i mnie znowu cofnęli do obozu i ja znowu nie mogę wyjść z tego obozu. I potem, w jakichś trudniejszych moich sytuacjach życiowych, to momentalnie byłam w obozie i nie mogłam się z niego wyrwać. Codziennie mi się śniło, a to, że mi łapcie ukradli, a to, że mi onuce ukradli, a to, że mi ciepłogiejka spaliła się w suszarce, stale ten obraz obozu mnie nocami prześladował, bardzo, bardzo długo. Jestem przekonana, że dopiero rodzina, dzieci jak się urodziły, to te momenty które wyparły tamten obraz z podświadomości, osłabiły jego ostrość, już potem mogłam o tym mówić. Co sprawiło, że spośród iluś tam, ty trafiłaś tu jako żywa, co ci pomogło, jakie zbiegi okoliczności i jaką rolę odegrała w Twoim życiu obozowym wiara? Ja wogóle z natury byłam ogromna optymistka. Optymizm ten przez cały czas nie opuścił mnie. Ja stale wierzyłam, że wrócę do domu, to było coś we mnie całej, coś, co nie pozwalało nawet pomyśleć, że ja mogę zostać w obozie, to nie było oparte na przesłankach rozumowych, ale mnie się stale zdawało, że my wrócimy wcześniej.

IV/55 Stenia

I strona

Ja stale wierzyłam, moja wiara w Boga też na pewno była pomocą, ja

mam ogromny kult do Matki Boskiej, wierzyłam, że Matka Boska nie dopuści, żeby się mi coś stało. Kiedyś przyśniło mi się, że my wracamy do Kraju 13 czerwca - powiedziałam to wszystkim, panie zaczęły od razu kojarzyć i doszły do tego, że 13-tego czerwca to jest dzień św. Antoniego i że to na pewno musi być prawdą i wobec tego po całym obozie poszła pogłoska, że 13-tego wracamy do Kraju. Ten sen miałam jakieś dziewięć lat przed powrotem, ale nie wiem dokładnie którego wracałam, była to długa podróż, a w lipcu byłam w Polsce.

Powiedzmy, że prawie się sprawdziło. Ale w tym okresie do tego stopnia mówiło się na ten temat, że mnie wezwał naczelnik obozu, pytając, skąd ja mam te wiadomości - cała dyskusja polityczna skończyła się, gdy powiedziałam, że mi się to po prostu śniło. Na pewno ta wiara utrzymała mnie na jakiejś powierzchni, poza tym ja miałam bardzo silne poczucie moralności - ja byłam bezwzględna dla tych, którzy w jakiś sposób złamali tę moralność, mówię o dziewczynach, które się puściły - mnie to też chyba trzymało, było coś takiego, że nawet jeśli niektórzy robili takie próby w moim kierunku, to coś ich jednak hamowało przed agresją fizyczną, coś ich wstrzymywało, chyba ten mój dystans. Ja stale wszystkim mówiłam, że wrócimy. Jak wyszliśmy z obozu, to ja stale mówiłam, że wrócimy, w grupach, w których spotykaliśmy się mówiono, że jestem ogromna optymistka i że razem ze mną wierzą, że wrócimy. Jak byś oceniła morale Polek na tle innych nacji? Muszą powiedzieć, że w zasadzie Polki trzymały się bardzo dobrze, były sporadyczne wypadki Polek, powiedziałabym jeden albo dwa przypadki, które zdecydowały się na łatwiejszy chleb. Jeżeli ktoś się decydował, ale one nie miały co się decydować, one były nastawione na to - to były Rosjanki, decydowały się niektóre bardzo szybko, ale jeszcze w dużym procencie trzymały się także Ukrainki. Przepominam sobie taki przypadek, kiedy byliśmy wszystkie ogromnie głodne, pamiętam Romkę Kogut, która

chodziła i modliła się, żeby nie czuć głodu i skurczu żołądka. I kiedy tak żeśmy siedziały, to jedna, Ukrainka, niby Rosjanka zdenewrowała się, wyszła z baraku i wróciła, chyba po godzinie, niosąc z sobą kawałek chleba, ze spuszczoną głową przyszła i myśmy wszystkie się odwróciły - pamiętam, że ona przyjechała z naszym etapem, z naszą grupą i ona dopiero wchodziła w to życie, potem już na stałe pomagała sobie tak przeżyć, partnerzy to się zmieniali, to byli konwojenci i różni inni. Były takie, które zostawały "żonami" nariadczyków, ale jeżeli on się zmieniał, to był następny i one także się decydowały. A nie daj Boże zostać nałożnicą błatnego - on mógł oddać koledze, jeżeli dziewczyna mu się znudziła i były takie przypadki. Były przypadki dziewczyn zgwałconych przez błatnego, pod groźbą noża pozostawały w partnerstwie, a jak miał dość odstępował koledze, pozwalając na grupowe seanse. To były bardzo biedne kobiety - przypominam sobie, jak później już pracowałam w szpitalu w laboratorium, kiedy była kontrola chorób wenerycznych, przypominam sobie, jak jedna z takich Rosjanek opowiadała, jak była zgwałcona przez jednego z wódców błatnych - przemiła zresztą Rosjanka, bo to nie była ze świata przestępczego, była więźniarką polityczną - została przez niego zmuszona do takiego życia, potem do życia z innymi błatnymi, bardzo nieszczęśliwa to była kobieta, one często były sterroryzowane nożami czy innymi narzędziami, czy metodami. Oni mieli respekt do Polek, w stosunku do naszej grupy nie zdarzały się przypadki gwałtów. Rosjanki nieraz chętnie decydowały się na współżycie, na zajście w ciążę, bo to chroniło je na jakiś czas przed ciężkimi robotami - one trafiały do Samgaradka, gdzie przez krótki czas były razem z dziećmi, w okresie karmienia dzieci, potem dzieci były zabierane od nich i wychowywane w Dietdomach, a one wracały do poprzednich obozów, albo innych, nieraz koleje ich losu się zmieniały, bo bywało, że trafiały do krawiectwa, do brygad remonto-

wych, gdzie pracowały w pomieszczeniach w okresie zim. Takie kobiety były w jakiś sposób chronione, początkowo jako te matki po porodzie - one, jeśli któraś chciała, miały szansę uzyskać dziecko. Tylko nie wszystkie chciały, bo niektóre rodziły tyle, ile im się chciało, zostawiając te dzieci w Domach Dziecka, nie wiem, czy takim kryminalistkom te Domy oddawały dzieci, chyba one nie miałyby szans na wychowanie tych dzieci, bo przecież stale na nowo łamały prawo, musiałyby mieć pozytywną opinię, że mogą wychować dziecko, chyba w innym przypadku Państwo im tych dzieci nie mogło oddawać.

Nie wiem, czy stracenie praw do dziecka łączyło się ze sprawą utraty praw obywatelskich, ale wydaje mi się, że chyba nie. Pozbawienie praw obywatelskich, tzn. nie można było się ruszać z tego terenu, nie było się tak chronionym prawem, nie miało się prawa głosowania, ale jeśli matka była zdolna, żeby chować dziecko, to wydaje mi się, że tego się nie odbierało. Chyba, że to były kryminalistki ostatniego rzędu, że już nie potrafiły inaczej żyć, one się chyba same nie zwracały. Ale ciekawa jest taka rzecz, że te kryminalistki, największe przestępczynie, z jakimi się spotykałam, to mogły używać taki słownik i przez pół godziny się nie powtarzać, w momentach, kiedy wspominałyśmy o matkach, wspominały swoją matkę i rozczulały się niesamowicie, matka dla nich była świętym słowem "moja matka", świętym słowem. Po powrocie do normalnego życia, ile czasu trwało wrócenie do normy? To trudno powiedzieć, jeżeli odrzuci się moment nocnych pobytów w dalszym ciągu w obozie, we śnie, to we mnie było ogromne pragnienie uczyć się. Ja jeszcze wróciłam do Liceum, żeby sobie powtórzyć ostatnią klasę i od razu starałam się dostać do Akademii Medycznej, więc ta chęć do życia u mnie, to była od razu. Ja nie miałam momentów, że muszę odpocząć - nawet niektórzy się dziwili, że ja nie chcę odpocząć, nie chcę użyć w tej wolności, dla mnie wtedy wolność, to to, że ja chciałam się uczyć, że ja chciałam

pokazać, że mnie stać na to, żeby się uczyć, żeby się znaleźć w szeregu tych ludzi, którzy tu, w normalnym życiu, do czegoś dążą. I dlatego ja byłam szczęśliwa, gdy dostałam się na studia i jednocześnie pracowałam, bo musiałam utrzymywać mamę. Ale ja byłam bardzo szczęśliwa, ja byłam tak szczęśliwa, że nieraz znajdując się na sali wykładowej, nie przesadzam, nieraz chciało mi się krzyknąć z tej radości, że ja mogę studiować, ja wracałam każdego dnia szczęśliwa do domu, że jestem w domu, że jest mama, może to trochę patetyczne, ale ja cieszyłam się każdą wiosną, którą z bliska mogłam dotknąć. Czy szybko dogoniłaś te dziesięć lat wyrwanych z życia, tzn. myślę o małżeństwie, macierzyństwie, czy to szybko nastąpiło? Czy szybko? Ja wyszłam za mąż w 1959 roku, wróciłam w 1955 roku, a więc po czterech latach, jeszcze w czasie studiów, bo w 1961 roku skończyłam studia. Chyba tym się zademonstrował ten powrót do życia, że weszłam w normalny tok spraw ludzkich, chciałam się zachłysnąć pobytami i w teatrach, na koncertach, w filharmoniach, w książkach, tym, że się uczę. I rzeczywiście spotkałam na swojej drodze mojego męża - mąż twierdził, że byłam zawsze taka powściągliwa w uśmiech, mimo wszystko, chociaż zdawało mi się, że się ciągle uśmiecham. Pełnia radości życia przyszło dopiero wtedy, gdy się urodziły dzieci; może wtedy się śmiałam pełnym sercem i pełnymi oczami do życia i do świata. Wtedy naprawdę skończył mi się obóz kiedy miałam rodzinę, dom, dzieci i byłam szczęśliwa. Dogoniłam swoją młodość, zapominałam wtedy, bo przecież na studiach miałam różnicę wieku z kolegami - ja zapominałam, ale zdawało mi się, że koledzy też zapominali, zawsze wszędzie uczestniczyłam z nimi i zawsze mówiłam, że nie czują różnicy. Jeżeli chodziło o innych, którzy przeżyli obóz i zaczęli nowe życie, to ja wiem, że szereg osób próbowało, nie wszystkim się udawało, ale kilka osób z moich znajomych: Janka Zuba, Staszek Duźniak, Zbyszek Konopacki, Wanda

Kiełko, Halinka Joczym skończyli studia - także szereg osób chciało znaleźć się w toku normalnego życia. Życie zwyciężyło i to pozwoliło zapomnieć, ja nie wiem, jak się czuli ci, którzy się nie starali skończyć studiów, bo dla mnie ta możliwość, że ja doszłam do czegoś, co sobie wytyczyłam, była: znakiem równości z tym, że ja nie mam kompleksu, że jestem w jakimś sensie cofnięta, że jestem w jakimś sensie innym człowiekiem - dogoniłam swój czas, tak.

Może jeszcze uzupełniając swoje opowiadanie, mogę jeszcze powiedzieć, że właśnie w tym obozie na Workucie krążyły takie pogłoski, nie wiem, na ile były prawdziwe, ale mówiło się o tym, że kiedyś komendantem tego obozu był Rokossowski, zresztą były dwie opinie o Rokossowskim, raz, że był komendantem, a dwa opowieście jednej z Ukrainek, która opowiadała o tym, że była świadkiem, jak Rokossowski kiedyś przechodząc z jakimś oddziałem wojskowym był gościem u nich w domu, częstował dzieci cukierkami, mówiła, że był uroczy człowiek, sympatyczny. Jako komendant nie wiem, jaki był, ale podobno był. Nie słyszałam tego, że pracował na Workucie w chleboresce, ale być może, że pracował, ale potem jako człowiek zaufany był komendantem i podobno był do momentu odwołania go przez Stalina w celach strategicznych.

II strona

Pewnie do wojska go z powrotem cofnięto, bo rzeź zrobił Stalin
X wśród wyższych dowódców wojskowych. Opowiem jeszcze o pewnym incydencie, który przypomniałam sobie nieco później a który może wniesie jakieś spojrzenie na fakty trochę innego rodzaju, jakie miały miejsce w obozie. Ponieważ sama tego nie powiesz - wynika to z tego, że masz i miałaś nietypowe warunki zewnętrzne, tzn. bardzo dużą urodę i w związku z tym, mężczyźni tam się w tobie kochali. Spróbuję opowiedzieć tą historię. Było to w obozie na Workucie. Przyjechał nowy politruk, mówiono, że jest to prokurator, może tzw. kum. Wydawał mi

się wtedy starszym panem, miał około czterdziestu lat. Przyjechał i oglądał wszystkich, sprawdzał, rozmawiał, odwiedzał baraki - odwiedził też i nasz barak i zaczął odwiedzać nasz barak częściej. Zdarzało się nieraz w nocy, że budziłam się od tego, że nade mną stał ten pan i przypatrywał mi się, nawet paląc jakąś lampeczkę. Bardzo mnie to niepokoiło, ale takie przypadki się zdarzały. Nie wiem, czy to przypadek czy zaistniało to na skutek takiego harmonogramu, ale nasza brygada, która wychodziła zwykle na zewnątrz Zony, na zewnątrz obozu, pewnej nocy miała pracę na terenie obozu. Praca polegała na rozładowywaniu węgla z platform i rozsypywaniu w pewnych miejscach - w czasie tej pracy podszedł do nas ten prokurator, chwilę porozmawiał z brigadirką, następnie poprosił mnie, żebym z nim poszła. Poszłam za nim, bo taki był obowiązek i on w pewnym momencie pytając mnie o jakieś głupstwo, już nie pamiętam dokładnie o co, ale powiedział, że ma list od mojej mamy - bardzo mnie to zdziwiło, bo ja miałam zakaz korespondencji, który wynikał z poprzednich dwóch wyroków karceru /za urządzenie wcześniej wigilii i zrobienie z waty mikołaja/, byłam elementem niepewnym. Zdziwiło mnie, kiedy powiedział, że ma list od mojej mamy - dał mi go do przeczytania, ja przeczytałam i wtedy on próbował zbliżyć się do mnie, chciał objąć i pocałować - ja w porywie agresji odsunęłam go i uderzyłam go w twarz, sama się tego przeraziłam, otworzyłam drzwi, które on próbował przedtem zamknąć, wybiegłam i powiedziałam brigadirce, że go uderzyłam w twarz - ona była przerażona, powiedziała, że ściągnę biedę nie tylko na siebie, ale i na całą brygadę. Ale przeszedł jakiś okres czasu, nic się nie działo ani w stosunku do mnie, ani do brygady nie były wyciągane jakieś konsekwencje i kiedyś, kiedy znowu pracowałyśmy tak przy tym węglu w nocy w obozie, kiedy on znowu podszedł do naszej brygady i znowu poprosił, żebym poszła z nim. Byłam tym ogromnie zdenerwowana, ale kiedy weszłam do niego,

pokazał mi list od mojej mamy, powiedział, żebym przeczytała, powiedział, że wyjeżdża z tego obozu i ze słów jego wynikało, że za-imponowałam mu jakąś swoją postawą - spojrzałam na niego zdziwiona i mile rozczarowana tym, że w gruncie rzeczy okazał się przyzwoitym człowiekiem - mogły być w innym przypadku straszne konsekwencje. Czy często spotykałam takie sytuacje, takie ludzkie odruchy, czy było to częściej, niż można było spodziewać się z sytuacji obozowej? Spotykałam, ja opowiadałam już o tym, jak przyjechałyśmy do obozu i wysłali nas po raz pierwszy na lesopowal, to było w Uchcie, na początku, kiedy z koleżanką wogóle nie mogłyśmy sobie poradzić, ani z drzewem, ani z piłowaniem - zostałyśmy przeniesione na sztrafnyj pajok, który był stosowany dla ludzi za otkaz od raboty i wtedy konwojenci naznisili nam belki drzewa, żebyśmy nie miały karniaka. Poza tym jak prowadził konwojent, to mnie się zdawało, że lubił naszą grupę, lubił, jak ja śpiewałam i lubił prowadzić naszą grupę do pracy - to był taki pozytywny do nas stosunek. Były takie odruchy nawet od naczelnika obozu - kiedyś na Workucie, pamiętam, siedziałam w laboratorium i coś robiłam, a przechodził naczelnik obozu, przyszedł coś zagadał, porozmawiał, potem wyszedł a ja na stole znalazłam na stole małe jabłko - były więc takie serdeczne odruchy. Na Workucie większość osób była politycznych. Obok osób takich serdecznych, tam się czuło jakąś zaciętość konwojentów, którzy sprawdzali w obozie, którzy robili kontrolę, rewizję - było parę takich kobiet, że kojarzyło mi się to z obozem niemieckim - ich sposób bycia, w tym, że kazały się sobie kłaniać, nie nazywały po nazwisku, tylko po numerze. W tym kontekście te serdeczności były szczególnie zauważalne, szczególnie dla nas, które nie liczyły się jako ludzie, byłyśmy gorzej niż zerem, jednostką ujemną. Jeśli chodzi o współtowarzyszki, Rosjanki, to były niezwykle serdeczne - tam spotkałam dużo wartościowych ludzi, o dużej kulturze, z dużą sym-

patią do nas, tam zacierały się nie-raz granice nacji, byliśmy ludźmi, byliśmy wszyscy w tych samych warunkach, potrzebowaliśmy nie-raz jakiegoś życia kulturalnego, więc opowiadałyśmy sobie książki, o muzyce były ciekawe rozmowy, o literaturze, poezji - to była taka duchowa strawa, tam wiele takich osób spotkałam. Powstało takie pojęcie homo sovieticus, czyli człowiek na modłę ich ustroju, człowiek radziecki, ale w tym troszkę innym znaczeniu, niż normalnie się mówi, bo w warunkach obozowych, które były warunkami ekstermalnymi, skrajnymi - przede wszystkim młodzież była ulepiana na ten model sovieticus. Ta starsza generacja była bardzo kulturalna, z tradycjami, nawet w przypadku ludzi prostych było to coś innego, były w kulturze różnice - natomiast młodzież, ta generacja kobiet, które były na froncie, to one potrafiły nie raz głośno mówić, że my jesteśmy wrogami narodu, one na nas patrzyły, jak na wrogów narodu i stosunek ich raczej nie był do nas przyjazny, ale tolerancyjny - mówię o współwięźniach. W brygadzie tej samej, o której już wspominałam byłyśmy na jakiś pracach na zewnątrz i ktoś pytał się o nas, za co my tu - ja nie wdawałam się w takie rozmowy, ale stała przy nas taka Frosia, ona była z jakiegoś frontu za coś zabrana do obozu i nagle ktoś zainteresował się wskazując na mnie, kto to jest, ta wasza padruga. Więc ona głośno powiedziała, że ja nie jestem ich padruga, ja jestem wróg narodu. - w takich momentach to się czuło, że jesteśmy trochę inne. Miło mi, jeżeli moja opowieść, taka indywidualna bardzo, wniosła coś do całokształtu naszego życia tam, tych różnych przeżyć - może tak opowiadając bez przygotowania, może niepełna, wiele faktów zostało pominiętych, o wielu ludziach nie powiedziałam, bo dużo osób spotkałam naprawdę bardzo wartościowych. Ale jeżeli to będzie jakiejś sprawie służyło, to się bardzo cieszę.